



Kobieta, która czekała

Andreï Makine

[kalejdoskop]

Kobieta, która czekała

Andreï Makine

przełożyła **Katarzyna Bieńkowska**

I

1

„Kobieta tak zdecydowanie predestynowana do szczęścia (choćby jedynie do szczęścia czysto fizycznego, tak, do banalnego spełnienia zmysłowego), która jednak wybrała, można powiedzieć niefrasobliwie, samotność, wierność wobec nieobecnego, wyrzekając się kochania...”.

Napisałem to zdanie w tym szczególnym momencie, w którym człowiekowi się zdaje, że poznał już kogoś (tamtą kobietę, Wierę). Wcześniej występuje ciekawość, domysły, pragnienie wyznań. Chęć przeniknięcia drugiej osoby, odkrycia jej sekretów. Później, gdy zagadka jest już rozwiązana, przychodzą te słowa, często pretensjonalne i kategoryczne, słowa, które analizują, stwierdzają, podsumowują. Wszystko staje się jasne i pewne. A to może się przerodzić w związek miłosny albo w obojętność. Tajemnica drugiej osoby jest oswojona. Jej ciało sprowadza się do mechaniki zmysłowości, wzbudzającej pożądanie bądź nie. Jej dusza ogranicza się do zbioru przewidywalnych reakcji.

W istocie na tym etapie dochodzi do swego rodzaju morderstwa, gdyż zabijamy ten nieskończony i niewyczerpany

byt, który spotkaliśmy. Wolimy mieć raczej do czynienia z konstrukcją słowną niż z żyjącą istotą...

Podczas tych wrześnieowych dni w wiosce leżącej w środku lasów, które ciągnęły się aż do Morza Białego, musiałem notować tego typu spostrzeżenia: „niewyczerpany byt”, „morderstwo”, „kobieta obnażona za pomocą słów”... Wówczas (miałem dwadzieścia sześć lat) podobne refleksje wydawały mi się ogromnie przenikliwe. Odczuwałem przyjemną dumę, że odkryłem sekretne życie kobiety, która mogłaby być moją matką, że w kilku zręcznych zdaniach zdołałem wyrazić jej los. Myślałem o jej uśmiechu, o geście dłoni, jakim mnie pozdrawiała, widząc z daleka na brzegu jeziora, o miłości, którą mogłaby obdarzyć tylu mężczyzn, a której nie ofiarowała nikomu. „Kobieta tak zdecydowanie predestynowana do szczęścia...”. Tak, byłem dosyć dumny z mojej analizy. Przypomniałem sobie nawet, że pewien dziewiętnastowieczny krytyk używał terminu „dialektyka duszy”, chcąc określić u pisarzy tę sztukę zgłębiania sprzeczności ludzkiej psychiki. „Kobieta predestynowana do szczęścia, która jednak...”.

W ten wrześnieowy wieczór zamknąłem notes i spojrzałem na garść borówek, zimnych i upstrzonych plamkami, które pod moją nieobecność Wiera zostawiła na stole. Za oknem ponad czarną linią lasu niebo zachowało jeszcze tę mleczną bladość, która przywoływała na myśl – odległą o kilka godzin marszu – senną obecność Morza Białego, już oczekującego zimy. Dom Wiery znajdował się na początku ścieżki prowadzącej przez zalesione

wzgórza na wybrzeże. Pomyślałem o samotności tej kobiety, o jej spokoju, o jej ciele (w sposób jak najbardziej fizyczny wyobraziłem sobie kokon delikatnego ciepła otaczający to kobiece ciało pod kołdrą w krystaliczną mroźną noc) i nagle zrozumiałem, że żadna dialektyka duszy nie jest w stanie wyrazić tajemnicy tego życia. Życia zdecydowanie zbyt przejrzystego i boleśnie prostego w porównaniu z moimi uczonymi analizami.

Życia kobiety, która czekała na powrót ukochanego mężczyzny. I nie było tu żadnego innego sekretu.

Jedyny rys zagadkowy, a właściwie anegdotyczny, stanowiła moja pomyłka: po naszym pierwszym spotkaniu, które trwało ledwie kilka sekund, pod koniec sierpnia, minąłem się z Wierą raz jeszcze, na początku września. I nie poznałem jej. Byłem przekonany, że chodzi o dwie różne kobiety.

A przy tym obie wydawały mi się „tak zdecydowanie predestynowane do szczęścia...”.

Później miałem poznać układ dróg, ruchliwe habity drzew, inne za każdym zakrętem, uskoki stromego brzegu jeziora, wzdłuż którego już wkrótce mógłbym wędrować z zamkniętymi oczami. Ale tego dnia pod koniec lata zaczynałem dopiero orientować się w okolicy, krążyłem tu i tam z tą podniecającą radością, że za modrzewiowym gajem mogę odkryć opuszczoną wioskę albo – z trudem utrzymując równowagę – przejść po drewnianym, na wpół zawalonym mostku. To właśnie u wejścia do jednej z takich na pozór niezamieszkałych wiosek ją ujrzałem.

Z początku miałem wrażenie, że zaskoczyłem kochającą się parę. W gąszczu porastającym brzegi jeziora dostrzegłem bardzo biały fragment uda, zarys tułowia naprężonego z wysiłku i usłyszałem zdyszany oddech. Wieczór wciąż był jasny, ale niskie, krwistoczerwone słońce znaczyło widok pręgami cienia i ognia, igrając w liściach wierzb. Spośród tego migotania wyłoniła się kobieca twarz, niemal muskając podbródkiem gliniastą ziemię, i natychmiast się odwróciła, w burzy odrzuconych do tyłu włosów... Powietrze było ciepłe, wilgotne. Ostatnie upały tego sezonu, „babie lato” przyniesione na kilka dni przez wiatr z zachodu.

Już miałem pójść dalej swoją drogą, kiedy gałęzie zatrzęsły się gwałtownie i kobieta wyszła z zarośli, skinęła głową w niepewnym geście pozdrowienia i pospiesznie poprawiła zadartą nad kolana sukienkę. Ja również ją pozdrowiłem, niezręcznie, nie bardzo mogąc dojrzeć jej twarz, którą znaczyły naprzemiennie promienie zachodzącego słońca i pręgi cienia. U jej stóp, ciężka niczym zwłoki topielca, zwijała się ogromna sieć rybacka, którą kobieta właśnie wyciągnęła z wody.

Przez kilka chwil trwaliśmy w bezruchu, połączeni niejasną współwina, podobną tej, która towarzyszy pospiesznemu aktowi cielesnemu w mało bezpiecznym miejscu albo wręcz zbrodni. Patrzyłem na jej gołe stopy, czerwone od gliny, i na zwały sieci, targane nagłymi szarpnięciami: zielonkawe cielska szczupaków szamotały się niezdarnie, a nad nimi, zaplątany między pływakami, przeżył się długi kształt, prawie czarny, który w pierwszej

chwili wzięłem za węża (węgorz albo młody sum, zapewne). Ten stos lin i ryb powoli ociekał, w stronę jeziora sączyła się woda zmieszana z rdzawym szlamem, niczym cienka strużka krwi. Było parno jak przed burzą. Nieruchome powietrze więziło nas w jednej niezmiennej pozycji, narzucając naszym ciałom bezwład jak z koszmarnego snu. A równocześnie powstało między nami porozumienie, bezwiedne i milczące, że wszystko jest możliwe między tym mężczyzną a tą kobietą, u schyłku tego dnia, w tej gwałtownej czerwieni. Absolutnie wszystko. I że nie istnieje nic ani nikt, kto mógłby temu przeszkodzić. Ich ciała mogły wyciągnąć się przy kłębach sieci, oddać się sobie nawzajem, przeżywać rozkosz, w miarę jak ze złowionych ryb uchodziło życie...

Oddaliłem się szybko, z poczuciem, że z tchórzostwa uniknąłem chwili, w której przeznaczenie wciela się w określone miejsce, w określoną twarz. Chwili, w której los pozwala nam choć rzucić okiem na niepojęty splot przyczyn i skutków.

Tydzień później spadła na nas kara, północno-wschodni wiatr przyniósł pierwszy śnieg, jakby chciał się zemścić za te kilka rajskich dni. Kara dość łagodna, złożona z białych, świetlistych tumanów, które przyprowadzały o zawroty głowy, mąciły widok dróg i pól, wywoływały uśmiech na twarzach ludzi oślepianych garściami płatków sypanych w oczy. Ostre, przenikliwe powietrze miało smak nowej nadziei, obiecanego szczęścia. Podmuchywiatru zasypywały gradem kryształków czarną taflę jeziora, a ono

wchłaniało tę delikatną biel, wciąż na nowo, w swe przepastne głębinie. Brzegi natomiast były już rozjaśnione śniegiem i błotniste szramy, które nasza ciężarówka zostawiała na drodze, szybko się zablizniały.

Kierowca, z którym często jeździłem od wioski do wioski, mianował się ironicznie „pierwszą jaskółką kapitalizmu”. Otar, Gruzin około czterdziestoletni, swego czasu otworzył pokątny handel futrami, po czym, zadenuncjowany, siedział w więzieniu, a obecnie cieszył się warunkową wolnością w tej północnej krainie, przypisany do starej ciężarówki o spróchniałej skrzyni. Była połowa lat siedemdziesiątych i „pierwsza jaskółka kapitalizmu” uważała zupełnie szczerze, że urządziła się całkiem nieźle.

– A poza tym tutaj na jednego faceta przypada dziewięć kobitek – powtarzał często z błyszczącymi oczami i lubieżnym uśmiechem.

O kobietach mówił bez przerwy, dla nich żył, podejrzewałem nawet, że cały ten kuśnierski interes miał na celu możliwość ubierania i rozbierania kobiet. Inteligentny zresztą i wręcz wrażliwy, wyolbrzymiał to swoje credo kobieciarza, zdając sobie sprawę, że tak właśnie postrzegano w Rosji Gruzinów: jako obsesyjnych donżuanów, monomaniaków seksu, nadzianych i prymitywnych. Odgrywał tę karykaturę, tak jak często cudzoziemcom zdarza się wcielać turystyczne stereotypy dotyczące ich rodzinnych krajów. Żeby nie rozczarować gapiów.

Mimo tej gry ciało kobiece stanowiło dla niego – w sposób naturalny i logiczny – jedyną rzecz, dla której warto było żyć. A najgorszą torturą stawała się niemożność wyznania tego

życzliwemu powiernikowi. Chcąc nie chcąc, przyjąłem tę rolę. Wdzięczny Otar gotów był zawieźć mnie na Biegun Północny.

W tych opowieściach udawało mu się, sam nie wiem jak, unikać powtórzeń. A przecież chodziło nieodmiennie o kobiety pożądane, uwiedzione, zdobyte. Brał je na leżąco, na stojąco, skulone w kabinie jego ciężarówki, przyparte plecami do ściany obory wśród sennie przeżuwiających zwierząt, na polankach u stóp mrowiska („oboje mieliśmy pośladki pożarte przez te cholery!”), w łaźniach parowych... Jego język był zarazem dosadny i kwiecisty: potrafił „rozplatać to wielkie dupsko niczym arbuza”, a w łaźni „cycki się rozdymają, nabierają objętości, o tak, rosną zupełnie jak drożdżowe ciasto”, „przyparłem ją do pnia wiśni, zanurzyłem się w niej i dżgając, tak nią potrząsałem, że dosłownie tonęliśmy w deszczu spadających wiśni, byliśmy czerwoni od soku...”. W gruncie rzeczy to był prawdziwy poeta cielesności, a szczerłość jego zachwytu dla kobiecego ciała ratowała te opisy spółkowania od monotonii.

Któraś dnia nieopatrznie spytałem go, w jaki sposób mogę poznać, czy kobieta gotowa jest przyjąć moje awanse, czy nie.

– Znaczy się, czy da dupy, czy nie da? – wykrzyknął, kręcąc jednocześnie kierownicą. – Ależ to bardzo proste, zadajesz jej jedno jedyne pytanie... – Jako dobry aktor wytrzymał pauzę, wyraźnie szczęśliwy, że może udzielić rady zielonemu młodziakowi. – Musisz wiedzieć tylko to jedno: czy ona je solone śledzie.

– Śledzie? Ale po co?

– Bo jeśli je solone śledzie, to ją suszy...

- No i?
- A jeśli ją suszy, to pije dużo wody.
- Nie rozumiem.
- Jeśli pije wodę, to znaczy, że sika, zgadza się?
- No tak, ale co z tego?
- To z tego, że skoro sika, to powinna posiadać płeć.
- To oczywiste, ale...
- A skoro ma płeć, to jej używa!

Zaniósł się śmiechem, zagłuszając warkot silnika, kuksnął mnie kilka razy w ramię i zgubił zamiecioną przez wichurę drogę. To był akurat dzień pierwszego śniegu, na początku września. Przybyliśmy właśnie do wioski, która wydawała się opuszczona i której nie rozpoznałem. Ani drewnianych chałup odmienionych warstwami puchu, ani brzegów jeziora wyściełanych na biał.

Otar zahamował, złapał wiadro i podszedł do studni. Jego przedpotopowa ciężarówka zużywała – dziw nad dziwy – tyle samo wody, co benzyny.

- Całkiem jak ta babka, co je solone śledzie – zażartował Otar, puszczając do mnie oko.

Już mieliśmy ruszyć w dalszą drogę, kiedy się pojawiły. Dwie kobiety, jedna wysoka i dość jeszcze młoda, druga – drobna staruszczyzna; pokonywały wzniesienie prowadzące od jeziora w stronę drogi. Właśnie wzięły kąpiel w maleńkiej chatynce, z której komina wciąż wydobywały się obłoczki dymu. Staruszczyzna szła z trudem, walcząc z uderzeniami wiatru, odwracając twarz przed tumanami śniegu. Jej towarzyszyca zdawała się niemal ją dźwigać. Miała na sobie długi wojskowy płaszcz, taki, jaki kiedyś

noszono w kawalerii. Była z gołą głową (może, gdy zaskoczył je śnieg, oddała swój szal starej), a jej szyja w ciężkim kołnierzu płaszczka zdradzała smukłość niemal dziewczęcą. Gdy dotarli do drogi, skręciły w stronę wioski, tak że widzieliśmy je teraz z przodu. I właśnie wtedy gwałtowniejszy powiew odchylił połę kawalerskiego płaszczka i przez chwilę mogliśmy dojrzeć biel piersi, którą kobieta zakryła pospiesznie, szarpiąc z irytacją kłapy płaszczka.

Nie zapalając silnika, Otar uparcie spoglądał przez otwarte drzwiczki. Czekałem na jego komentarze, przypomniałem sobie słowa: „w łaźni cycki się rozdymają...”. Byłem pewien, że zaraz usłyszę tego typu rubaszną tyradę. I po raz pierwszy czułem, że te słowa, nawet jeśli dowcipne i dobrodusze, sprawią mi przykrość.

Ale on trwał bez ruchu, z dłońmi na kierownicy, ze wzrokiem utkwionym w dwa cienie kobiece, rozmywające się powoli w szalejącej zamieci...

Jego głos rozbrzmiał równocześnie z włączanym motorem i chlupotaniem błota pod kołami:

– Przekłeta Wiera! Ona czeka! Czeka! Wciąż czeka... Spartoliła sobie całe życie tym czekaniem! Został zabity czy zaginął, co za różnica. Człowiek płacze, zgoda, wypija solidny haust wódki, w porządku, nosi żalobę, doskonale, taki jest zwyczaj, ale potem człowiek znów zaczyna żyć. Życie trwa dalej, do cholery! Miała szesnaście lat, kiedy wyjechał na front, w czterdziestym piątym, i od tamtej pory ona czeka, ponieważ nie przyszedł żaden wiarygodny dokument potwierdzający zgon tego typu. Zaszyla się tutaj z tymi wszystkimi staruchami,

o których świat zapomniał, a które ona wynajduje na wpół martwe po lasach. I czeka... I tak już, kurwa, czeka trzydzieści lat! A sam widziałeś, jaka wciąż jest piękna... – Zamilkł, po czym rzucił mi dzikie spojrzenie i wrzasnął przeraźliwym głosem: – Ta historia nie podpada pod solonego śledzia, do kurwy nędzy!

Mało brakowało, a odpowiedziałbym tym samym tonem, sądząc, że to przekleństwo wymierzone było we mnie, ale się nie odezwałem. Rozpacz, z jaką uderzył o kierownicę obiema dłońmi, przekonała mnie, że to samemu sobie czynił wyrzuty. Jego twarz straciła śniadą karnację i stała się szara. Czułem, że w swej zawziętości nie chce zrozumieć tej kobiety, a równocześnie, jak to prawdziwy góral, żywi dla tego czekania niemalże nabożny szacunek, jakim zawsze darzymy złożone śluby czy przysięgę...

Milczeliśmy aż do miasta, stolicy powiatu, gdzie wysiadłem. Na głównym placu, pokrytym śnieżną pluchą, państwo młodzi w otoczeniu najbliższych właśnie wychodzili z urzędu stanu cywilnego, żeby zasiąść w pierwszym samochodzie przybranego wstążkami ślubnego orszaku. Na niebie, ponad płaskim dachem, ponad wyblakłą czerwoną flagą, przelatywał żywy trójkąt dzikich gęsi.

– Wiesz, ostatecznie to może ona ma rację, ta Wiera – wyznał mi Otar, gdy podaliśmy sobie dłonie na pożegnanie. – A zresztą nie mnie ani tobie ją osądzać.

Nie próbowałem jej „osądzać”. Po prostu kilka dni po tym spotkaniu w zamieci ujrzałem ją – z bardzo daleka – idącą brzegiem jeziora.

Dzień był jasny i zimny, po ostatnich podrygach lata nastąpiło wreszcie królestwo jesieni w wyniku szarpaniny między kanikują a śnieżną zamięcią. Śnieg stopniał, ziemia była sucha i twarda, liście wierzb połyskiwały w słońcu, złote blaszki w błękitnej aurze. Miałem poczucie, że zostałem przyjęty przez te nasłonecznione pola, przez masywny cień lasu, przez okna chat, które zdawały mi się przypatrywać z życzliwością i melancholią.

Rozpoznałem ją na drugim brzegu jeziora: ciemny kształt wśród złocistej i zimnej pożogi. Długo śledziłem ją wzrokiem, uderzony prostą myślą, która sprawiła, że wszelkie inne rozważania nad jej losem stawały się zbyteczne: „O tej kobiecie – mówiłem sobie – wiem wszystko. Mam przed sobą całe jej życie, skupione w tej odległej sylwetce idącej wzdłuż jeziora. To kobieta, która od trzydziestu lat, a więc od zawsze, czeka na ukochanego mężczyznę”.

Nazajutrz zapragnąłem dotrzeć nad brzeg Morza Białego. Jedna ze starych mieszkanek wioski wskazała mi drogę, stopniowo zagarnianą przez las, zapewniła mnie, że sama w młodości przemierzała tę odległość w pół dnia i że ja z moimi długimi nogami... Zabłądziłem tuż przy nabrzeżu. Chcąc okrążyć wzgórze, natrafiłem na mokre torfowisko i brodziłem wśród muszli, z których dobywała się silna bagnista woń. Morze było już bardzo blisko, morską bryza przeganiała od czasu do czasu cierpki odór stojącej wody... Ale słońce teraz opadało, nie miałem innego wyjścia, jak tylko zawrócić.

Mój powrót przypominał ucieczkę po sromotnej klęsce. Brnąłem na oślep, nie znając drogi, kluczyłem bezładnie, dręczony śmiesznym lękiem, że zgubię się na dobre, raz po raz obierając twarz z pajęczyn słonych od mego potu.

Wioska i jezioro ukazały się nagle, w najmniej spodziewanym momencie, niczym widziadło senne. To był spokojny sen, rozświetlony bladą przejrzystością zachodzącego słońca. Usiadłem na potężnym granitowym bloku, który musiał niegdyś wyznaczać granice majątku ziemskiego. W ciągu kilku sekund ogarnęło mnie znużenie, przyćmiewając wręcz frustrację spowodowaną porażką mojej wyprawy. Czułem się wyczerpany, pusty, nieobecny, jakby nie zostało ze mnie nic poza tym ospałym spojrzeniem, które lekko prześlizgiwało się po świecie.

W miejscu, gdzie droga wiodąca do wioski łączyła się z szosą prowadzącą w stronę miasta powiatowego, ujrzałem Wierę. Na tym skrzyżowaniu znajdowała się, przytłoczona do słupa, niewielka tabliczka z nazwą wioski – Mirnoje. Nieco poniżej przybito skrzynkę na listy, która na ogół pozostawała pusta, a czasem mieściła dziennik lokalny. Wiera podeszła do słupa, odchyliła blaszaną klapę i zanurzyła rękę we wnętrzu skrzynki. Nawet z takiej odległości czułem, że to nie był machinalny gest, że wciąż jeszcze nie stał się machinalny...

Przypomniałem sobie nasze pierwsze przelotne spotkanie pod koniec sierpnia. Ogromną sieć rybacką, spojrzenie nieznamomej, jej ciało rozgrzane z wysiłku. I moje przekonanie, że między nami wszystko jest możliwe. I wrażenie, że zmarnowałem okazję. Zapiisałem to w notesie. Te zapiski

wydawały mi się teraz zupełnie niestosowne. Kobieta, która szukała listu w zardzewiałej skrzynce, żyła na innej planecie.

Z tej swojej planety, gdyśmy się mijali, pozdrowiła mnie z uśmiechem, zmierzając do domu. Myślałem o jej czekaniu i po raz pierwszy ten los nie wydał mi się dziwny ani wyjątkowy.

„W gruncie rzeczy wszystkie kobiety czekają, tak jak ona, całe swoje życie – formułowałem niezgrabnie moją myśl. – Wszystkie kobiety we wszystkich krajach i we wszystkich czasach. Czekają na mężczyznę, który ma się zjawić, na końcu tej drogi, w tej przejrzystej aurze zachodu. Mężczyznę o pewnym, poważnym spojrzeniu, przybywającego z krainy odleglejszej niż śmierć do kobiety, która pomimo wszystko nie straciła nadziei. A te, które nie czekają, to zwykłe zjadaczki solonych śledzi!”

Brutalność podobnej konkluzji dobrze mi zrobiła, gdyż przyjechałem do tej wioski poniekąd z powodu jednej z tych kobiet, które nie potrafią czekać.

2

Umknąłem przed tymi, dla których nasze czasy zbyt były powolne. Zresztą usiłowałem właściwie uciec od samego siebie, gdyż niewiele mnie od owych desperatów różniło. Zrozumiałem to w tamtą marcową noc w pracowni, zwanej przez nas Wigwamem. Twarz naszkicowana na płótnie, na które malarz zaczął dopiero nakładać farby, dziwnie przypominała moją własną.

W pewnym momencie rytm deklamacji zbiegł się z miarowym dyszeniem pary kochanków. Wszyscy starali się zachować powagę. Zwłaszcza sam poeta. Wymagała tego bowiem treść strof. Nasz kraj został w nich porównany do przerażającej planety, której gigantyczna masa uniemożliwiała komukolwiek wyrwanie się z pola jej przyciągania. Rosyjskie słowo *planieta* zestawione było z powtarzającym się wielokrotnie przeczeniem *niet*, tworząc dobitną inkantację. W toku recytacji owo *niet* zyskało echo w postaci męskiego stękania oraz – o ton wyższych – jęków kobiecych, to ta para, którą oddzielało od

nas jedynie kilka płócien ustawionych na sztalugach. Wśród nich ów ledwie maźnięty portret mężczyzny podobnego do mnie.

Sytuacja zrobiła się komiczna. A przecież noc, uroczysta jak tyle innych nocy spędzonych tam, w pracowni, pozostała smutna.

Nie, jak zawsze było dużo alkoholu, dużo muzyki (śpiewak jazzowy już-już zamierzał wyszeptać każdemu do ucha jakąś tajemnicę i wciąż odwlekał te swoje zwierzenia), dużo ciał, w większości młodych, gotowych kochać się bez ograniczeń, a raczej po to, by drwić z ograniczeń.

Z opóźnieniem sześć-, może siedmioletnim Maj 68 dotarł aż do Rosji, aż na ten długi strych przerobiony na pracownię, na wpół pokątną, na dalekich przedmieściach Leningradu.

Pła-niet-a – Niet!, skandował autor wiersza, a zza nieukończonych płócien odpowiadały mu krzyki narastającego orgazmu. Owo *niet* tłamsiło rozwój talentów, ekspresję wolności, miłość bez hamulców, podróże zagraniczne, krótko mówiąc – wszystko. Jedynie ten strych szybował, rzucając wyzwanie prawom grawitacji.

Była to atmosfera dość typowa dla tego rodzaju zgromadzeń artystów, mniej lub bardziej dysydenckich. Od Kijowa po Władywostok, od Leningradu do Tbilisi poglądy, obawy i nadzieje kształtowały się mniej więcej tak samo. Zazwyczaj naszym spotkaniom towarzyszyła radość, jakiej dostarcza poczucie tajności i wywrotowości, zwłaszcza kiedy człowiek jest młody. A to, czego nie dało się oddać wierszem ani pędzlem, wyrażaliśmy poprzez te

niezobowiązujące orgazmy. Planeta Niet oraz jęki, które znów rozbrzmiewały w najlepsze za obrazami.

Tym razem jednak wesołość zdawała się wymuszona. Nawet obecność amerykańskiego dziennikarza niczego nie zmieniała. A było to przecież dla nas wszystkich wielkie wydarzenie: siedział w fotelu, na środku sali, a ze względu na gorliwość, z jaką mu nadskakiwano, można by go wziąć za prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ale wieczór jakoś się nie kleił.

Łatwo dałoby się wyjaśnić to załamanie nastroju moją zazdrością. Za ledwie przed tygodniem dziewczyna, która wydawała jęki za obrazami, spała jeszcze w moich ramionach. Znałem jej głos podczas uprawiania miłości i teraz rozróżniałem jego brzmienie w miłosnym duecie. Musiałem to znosić bez mrugnięcia okiem. Nie miałem prawa do zazdrości. Poczucie seksualnej własności – toż to szczyt drobnomieszczańskiego absurdu! Pić, palić, mrużąc powieki (jak w filmach Godarda), upajać się lekturą wiersza, a kiedy kobieta wyłoni się spomiędzy płócien, rzucić jedynie okiem w jej stronę i zaproponować kieliszeczek... Przypomniałem sobie, jak we śnie unosiła czasem brwi, jakby pytała: „Po co to wszystko?”. Miała wtedy taką niewinną, dziecinną buzię... Nie wolno tego rozpamiętywać!

Prawdę mówiąc, wszyscy czuliśmy, że tej nocy nie ma atmosfery. Może właśnie z powodu amerykańskiego dziennikarza. Zbyt gruba ryba jak na tę nędzną pracownię, wizyta nadto upragniona. W naszych oczach był ni-

czym najwyższe wcielenie wymarzonego Zachodu, słu-
chał, patrzył, a każdy z nas miał wrażenie, że przenosi
się poza żelazną kurtynę. Dzięki niemu recytowane stro-
fy zdawały się już wydane w Londynie albo w Nowym
Jorku, a nieukończone płótno zamówione przez paryską
galerię. Inscenizowaliśmy dla niego dramat artystycznej
dysydencji i nawet jęki rozkoszy za sztalugami przezna-
czone były dla niego osobiście.

W sumie wszystkich nas po prostu przyćmił. Zamie-
rzałem mówić o mojej podróży do Tallina. W tamtym
okresie kraje nadbałtyckie stanowiły dla nas przedsiónek
Zachodu. Arkady Gorin, drobny brunet siedzący na sta-
rym pudełku po farbach, opowiadałby o swoim rychłym
wyjeździe do Izraela, który miał wreszcie nastąpić po sze-
ściu latach odmowy wydania paszportu. Ale zjawił się Ame-
rykanin i nasze opowieści automatycznie zbladły, zesta-
wione z leniwym ruchem jego szczęki, kiedy wymawiał
takie nazwy, jak Filadelfia, Boston, Greenwich Village...

Nawet wiersz, w którym breżniewowski Kreml porówna-
ny został do zoo prehistorycznych zwierząt, nie odniósł
spodziewanego sukcesu. Byliśmy miernymi aktorzynami
odgrywającymi dla niego Zachód, a on, reżyser (prawdziwy
Stanisławski!), oceniał nas, gotów wydać ów słynny i po-
tworny werdykt: „Nie wierzę w to!”. I należałby się nam,
tamtej nocy byliśmy mało wiarygodni jako ludzie Zachodu.

Zbyt niecierpliwi. Wydawało się, że żelazna kurtyna
musi trwać w nieskończoność. Oderwanie naszego kraju
od reszty świata sprawiało wrażenie nienaruszalnego pra-
wa natury. Nasza młodość była ledwie sekundą, pyłkiem

wobec tego odwiecznego królestwa. Nie mogliśmy już dłużej czekać.

Zwłaszcza że mieliśmy do dyspozycji wszystkie elementy upragnionego Zachodu: bluźniercze wiersze, nowatorskie malarstwo abstrakcyjne, używanie żywota bez kompleksów, zakazanych zachodnich pisarzy, których książki kupowaliśmy na czarnym rynku, europejskie języki, które zresztą znaliśmy, zachodnią myśl, którą staraliśmy się poznać za wszelką cenę. Niczym działający pod presją czasu alchemicy mieszailiśmy na łapu-capu te wszystkie czynniki podczas naszych nocy pijaństwa i deklamacji. Oto miała powstać kwintesencja Zachodu. Kamień filozoficzny, który przemieniłby *Kremłowskie zoo* w światowe arcydzieło, a jego autora uczyniłby klasykiem za życia, wielbionym od Nowego Jorku po Sydney, i przeniósłby to płótno pokryte pomarańczowymi kwadracikami ku muszli Muzeum Guggenheima...

Młoda kobieta, zupełnie pijana, osunęła się na splewiałym materac obok mnie. Z szerokim, wilgotnym uśmiechem usiłowała szeptać mi coś do ucha, ale nie panowała już nad artykulacją. W jej bełkocie powracały dwa męskie imiona. Odgadłem raczej, niż zrozumiałem: dwaj mężczyźni uprawiali miłość w sąsiednim pokoju, co wydawało jej się „przezabawne”, ponieważ równocześnie słychać było jęki pary za obrazami. Udałem, że wtóruję jej atakowi śmiechu, nagle jednak kobieta zamarła, przymknęła powieki, a na policzki bardzo wartką strużką zaczęły płynąć bardzo drobne łzy. Chrapliwy szepet śpiewaka jazzowego wciąż obiecywał ważne wyznanie, bez którego w ogóle nie sposób żyć.

Kobieta przestała płakać, popatrzyła mi wyzywająco w oczy i przemieściła się w stronę fotela Amerykanina. *Very big gallerist* – mówił ten ostatni. Jeden z malarzy słuchał, bez przerwy kiwając głową. Kieliszek drżał mu niebezpiecznie w dłoni. Pijana kobieta gramoliła się na podłokietnik fotela z istic owadzim uporem.

Noc, która nie mogła się rozkręcić...

Co ciekawe, kopia Zachodu, którą inscenizowaliśmy, pod pewnymi względami była prawdziwsza od oryginału. Przede wszystkim bardziej dramatyczna. Swoboda tych nocy nie zawsze bowiem pozostawała bezkarna. Po wielu latach miałem się dowiedzieć, że autor *Kremłowskiego zoo* okupił swój wiersz pięcioletnim pobytom w obozie, a jeden z homoseksualistów został uwięziony (jako że prawo piętnowało tę występłą skłonność) i pobity na śmierć przez sąsiadów z celi. Będę myślał o tym nieszczęsnym kochanku piętnaście lat później w Paryżu, na ulicach Marais: ta obfitość umięśnionych i opalonych mężczyzn na tarasach kawiarni, te ich zadowolone miny, można by powiedzieć – wyuzdane nadmuchiwane męskie lalki, popisujące się bicepsami i zdobytą normalnością. Przypomnę sobie wtedy, że homoseksualistę z leningradzkiej pracowni wykończyli, nabijając go na rurę, od odbytu aż po gardło...

Nasz operetkowy Zachód posiadał, w ogólnym rozrachunku, swój ciężar prawdy.

Moja przyjaciółka wyłoniła się z za sztalug, przemierzyła salę usianą ciałami, resztkami jedzenia, butelkami

i usadowiła się na skrzyni pełnej książek. Pomimo mieszanki odrazy i zazdrości nie potrafiłem powstrzymać się od podziwu: ależ ona doskonale gra, lepiej niż aktorki Godarda! Lubieżne ciało, usta o lekko rozmazanej szmince i absolutnie obojętne spojrzenie, którym mnie omiotła. I już komuś odpowiadała, przyjmowała kieliszek, ciesząc się tą szczególną atencją, jaką mężczyźni darzą kobiety... „gorące”, myślałem złośliwie. „Żadnej zazdrości, żadnej zazdrości. Jesteś śmieszny, ty niedźwiedziu syberyjski, ty”, powtarzał we mnie jakiś głos, całkowicie znieczulony. Spostrzegłem, że zdjęła rajstopy. Jej gołe, blade nogi wydały mi się nagle zdumiewająco dziewczęce, wzruszające z tą jasną skórą, której nic nie chroniło, i z konfiguracją pieprzyków, którą tak dobrze znałem. Poczulem gwałtowny przyływ litości, byłem gotów rzucić się i przykryć te nogi moim płaszczem.

Wtedy właśnie stwierdziliśmy, że amerykański dziennikarz zasnął. Spał już dobrą chwilę, przechyliwszy nieznacznie głowę, a my nadal do niego mówiliśmy, biorąc jego drzemkę za głęboką zadumę. Przemawialiśmy do niego, oczekując aprobaty lub okrzyku „Nie wierzę w to!” w stylu Stanisławskiego. Gdyby chrapał, wybuchnęlibyśmy śmiechem i wdali się w przekomarzanki. Ale on spał jak niemowlę, ze zmarszczonymi rozkosznie powiekami i wargami rozchylonymi w małe „o”. Nastąpiła chwila zakłopotania. Wstałem i poszedłem do kuchni. Przechodząc za obrazami, zobaczyłem mężczyznę (to był jeden z malarzy), który dopiero co kochał się z moją niedawną przyjaciółką. Wycierał sobie właśnie przyrodzenie ścierką, cuch-

nącą terpentyną... Amerykański dziennikarz obudził się wreszcie, z kuchni usłyszałem jego *So...*, po którym nastąpiło potężne ziewnięcie i pełne ulgi wybuchy śmiechu pozostałych.

Kuchnia (w istocie przedłużenie tego samego strychu, z poobtłukiwanym emaliowanym zlewem) miała tylko jedno okno, a raczej – wąską lukarnę, zastawioną wiktuałami, zawiniętymi w kawałki gazet. Szyba, pęknięta po przekątnej, przepuszczała do środka delikatny śnieżny pył. Ostatnie mrozy tej zimy.

W tym momencie odniosłem wrażenie, że przeżywam dokładnie to, co od dawna chciałem zapisać: szczypiącą kwaśność śniegu, starą kamienicę w nocnym mieście na wybrzeżu Bałtyku, ten strych, absolutną samotność młodzieńca, którym byłem, bliskość głosów tak znajomych i obcych zarazem, gwałtowne rozproszenie na zimnie mojej, zdawałoby się, miłości do kobiety, która – w tym właśnie momencie – otwierała się na pieszczoty innego, całkowitą błahość tego cielesnego zespolenia, a przecież ważkość nie do zmazania, śmieszna wręcz przelotność naszej obecności w miastach, w życiu drugiego człowieka, w całej tej pustce.

Coś nie pozwalało mi wyrazić tego tak, jak bym chciał. „Reżim!”, mówiliśmy podczas naszych potajemnych nocnych spotkań. Planeta Niet. Słuchając innych, sam w końcu w to uwierzyłem. Kremłowskie zoo przytępiało rzeźbiarskie dłuto, odbarwiało obrazy, krępowało rymy. Cenzura, jedność myśli, dyktat ideologiczny, powtarzaliśmy. I tak było rzeczywiście.

A jednak tej nocy, stojąc przed lukarną o pękniętej szybie, zacząłem w to wątpić. Bo przecież żadna cenzura nie zabraniała mi wysławić tego delikatnego śnieżnego pyłu, samotności, trzeciej nad ranem w ciemnościach śpiącego miasta na wybrzeżu Bałtyku. Planeta Niet wydała mi się nagle zbyt łatwym argumentem. Uskarżać się na reżim, nic nie pisać albo pisać wyłącznie po to, by się uskarżać. Wyczuwałem w tym błędne koło dysydenckiej literatury.

Do głowy mi nawet nie przyszło (jak zresztą nikomu spośród bywalców Wigwamu), że dziesięć lat później Planeta Niet zacznie pękać, a piętnaście lat później całkiem trzaśnie, tracąc swych sprzymierzeńców, swych wasali, swe granice, swoją nazwę wreszcie. I że każdy będzie mógł pisać, co tylko zechce, bez obawy przed cenzurą. Będzie mógł sterczeć na strychu, pod strzaskaną szybą lukarny, w uśpionym nocnym mieście, czuć śnieżny pył na rozgranej winem twarzy i dumać o naszej przelotnej obecności w życiu drugiego człowieka...

Lecz w owej przyszłości równie trudno jak przedtem będzie poecie wyrazić sprawę tak proste, jak miłość do kobiety, która już nie kocha, śnieg marcową nocą, obłoczek oddechu, który rozwiewa się na zimnie i każe nam myśleć: „moje życie”, ta lekka mgiełka lęku i nadziei.

Za piętnaście lat reżim przestanie istnieć, lecz strofy wcale nie zaczną powstawać z większą łatwością ani też wiersze nie będą bardziej czytane. Żaden amerykański dziennikarz nie zechce słuchać deklamacji podpitych poetów, a śmiałkom przestanie zagrażać jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. I nawet miłosne jęki dobiegające z za

nieukończonych płócien stracą ten swój miauczący i prowokacyjny smaczek.

Podczas tej nocy ostatnich mrozów pojąłem, jak mi się zdawało, przykry paradoks twórczości w reżimie totalitarnym. „Dyktatura często sprzyja tragicznemu powstawaniu arcydzieł...”.

– Wiesz, kiedy w polu widzenia nie ma wieży strażniczej ani szubienicy, poeta nabiera burżujskich nawyków...
– To oznajmił Arkady Gorin. Z butelką wódki w dłoni dołączył do mnie w kuchni i – jak to często się zdarza pijanym – mieliśmy wrażenie, że mówimy jednym głosem, odgadujemy nawzajem nasze myśli, przekazujemy je sobie telepatycznie dzięki temu porannemu szklistookiemu upojeniu. – Na Zachodzie dopadnie mnie poetycka impotencja, zobaczysz... – dodał z tragikomicznym westchnieniem.

– A oni co tam robią? – zapytałem, przerywając mu w pół słowa.

Mógłby zrozumieć: tam, na Zachodzie. Ale dzięki alkoholowi wiedział, że chodzi mi o ludzi, których zostawiliśmy w pomieszczeniu obok.

– Szutow czyta drugą część *Kremłowskiego zoo*, ale nikt go nie słucha, bo twoja przyjaciółka znowu się pieprzy za sztuką niefiguratywną. Z Amerykaninem. Używa prezerwatywy w ładnym jasnoniebieskim kolorze. Słyszałem, że na Zachodzie mają też prezerwatywy o zapachu, a nawet smaku owoców. Nie wiem, czy nasz Amerykanin... Wybacz, nie chciałem ci... Chcesz, żebym

rozwalił flaszkę na głowie tego obleśnego imperialistycznego rekina? No cóż... Wynośmy się stąd. – Już na ulicy dodał: – Pojutrze będę w Wiedniu, ale widzisz, wiem, że będzie mi brakować tego śniegu wirującego wokół latarni, tych brudnych ulic i tych klatek schodowych cuchnących kocimi szczynami. – Zaczął nagle krzyżeć, wymachując rękami i zadzierając głowę: – Jestem szczęśliwy! Zmiotam stąd! Wyprowadzam się z tego zasranego kraju, zamieszkać na Zachodzie! W moich smukłych palcach intelektualisty będą szeleścić banknoty, banknoty zieleńsze niż drzewo życia... Jestem wolny! Nienawidzę niewolników, którzy tkwią tutaj!

W rzeczywistości nasze głosy zlewały się w jeden w ramach tych nocnych wrzasków. Szydziły z ciemnych okien kamienic, ze snu tych wszystkich „niewolników” reżimu, tchórzy, którzy bali się krzyżeć jak my, wyrzucić z siebie całe obrzydzenie. I którzy przez swoją uległość umacniali więzienne społeczeństwo, w jakim żyliśmy. Byli naszymi wrogami. W każdym razie tamtej marcowej nocy wierzyliśmy w to po pijanemu. To nam pozwalało zapomnieć nasze porażki: jemu nieudane pożegnanie z Wigwamem, a mnie – konfigurację pieprzyków na nogach kobiety, którą kochałem i którą właśnie straciłem.

Spotkaliśmy owych wrogów w pierwszym podmiejskim pociągu jadącym do Leningradu. Byli tam wszyscy razem, zbity, zubożniały tłum, magma otumanionych twarzy, odrętwiałych z niewyspania ciał, pospolitych, pozbawionych cienia fantazji ubrań. To nawet nie byli owi wysławiani przez ideologię proletariusze, owe „masy pra-

cujące” straszące nas na każdym rogu ulicy z ogromnych propagandowych plakatów. Nie, to była podklasa nędznych trybików systemu: postarzałe kobiety, które jechały szorować metalowymi szczotkami brudy zakopconych fabryk, mężczyźni, którzy jechali ładować złom na wagoniki albo ze starym karabinem na ramieniu krążyć, co najmniej w trzydziestu, wokół betonowych murów zakładów przemysłowych. Istoty niewidoczne za dnia, które można było zobaczyć jedynie w nocnej jeszcze ciemności zimowego poranka, w pierwszym rannym pociągu.

Staliśmy, żeby lepiej obserwować tych nieszczęśników. Agresywność naszych niedawnych wrzasków przeszła w jadowity szept. Przed nami, ściśnięci na ławkach, ludzie ci tworzyli żywy obraz tego, co reżim może zrobić z człowiekiem: odebrać mu całą indywidualność, ogłupić go do tego stopnia, że z własnej woli czyta „Prawdę” (niektórzy trzymali rozpostarte gazety), przede wszystkim jednak wbić mu do głowy przekonanie o własnym szczęściu. Który bowiem z tych zaspanych trybików nie uważał, że jest szczęśliwy?

– Ty widzisz, jak oni są poubierani? – podśmiewał się Arkady. – Można by ich w tej chwili wysłać do kopania rowów, gdyby wrócili Niemcy, albo prosto do obozów, i nawet nie musieliby się przebierać.

– Do obozów? Oni wyglądają raczej, jakby dopiero z nich wyszli – odpowiedziałem tym samym drwiącym tonem.

– A tak w ogóle, to gdyby zamiast do Leningradu skierować tę cholerną ciuchcię na Syberię, nikt nie odważyłby się zapytać dlaczego...

Nagle zauważyliśmy ręce tego człowieka. Z całych sił ścisnął otwartą „Prawdę” kciukami i tym, co mu zostało z dłoni: kikutami pozbawionymi czterech palców.

Usłyszałem, jak Arkady kaszle znacząco, po czym odzywa się przytłumionym, nieco bełkotliwym głosem:

– Żołnierz obsługujący karabin maszynowy... Wiesz, podczas wojny był taki wielki karabin maszynowy, z tarczą, która chroniła głowę przed odłamkami, natomiast dłonie pozostawały całkowicie odsłonięte, z wyjątkiem kciuka, zakrytego kawałkiem stali. I kiedy leciał strumień odłamków...

Mężczyzna bardzo zręcznie przewrócił stronę kikutami.

Przyglądaliśmy się dłoniom innych pasażerów. Były do siebie bardzo podobne. Dłonie mężczyzn, dłonie kobiet, niemal nie do odróżnienia, ciężkie, o stawach zgrubiałych od pracy, naznaczone na stałe ciemnymi przebarwieniami od smarów. Niektóre z tych dłoni trzymały książkę lub gazetę, inne, złożone na kolanach, wnętrzem zwrócone ku górze, zdawały się swym bezruchem wyrażać jakąś prostą i ważną prawdę. Na twarzach, niekiedy o przymkniętych powiekach, również malowała się ta spokojna powaga.

Mężczyzna z „Prawdą” złożył gazetę i niczym okaleczony prestidigitator wsunął do kieszeni płaszcz. Pociąg zatrzymał się, mężczyzna wysiadł.

– Ostatecznie – wymamrotał Arkady – to dzięki tym ludziom możemy czytać nasze r-r-rewolucyjne wiersze i pieprzyć się, używając prezerwatyw pachnących egzotycznymi owocami. Dzięki ich wojnom, ich pourywanym palcom...

Nie odpowiedziałem. Myślałem o tym, że wśród tych starych pasażerów są z pewnością tacy, którzy w młodości bronili oblężonego Leningradu. Ci sami ludzie ponad dwa lata pod ostrzałem, w zimnych mieszkaniach, na usianych trupami ulicach. W tamtych czasach pracowali być może w tych samych fabrykach, do których i teraz się udawali. Bez oskarżania kogokolwiek. Bez narzekania. Zawsze widziałem w tej uległości niewolniczą służalczość, którą reżim tak doskonale potrafił narzucić. Natomiast w tamtym podmiejskim pociągu po raz pierwszy zdołałem dostrzec w tej postawie coś innego.

Drzwi wagonów otwierały się, pasażerowie wysiadali w rozjaśnioną śniegiem ciemność i znikali w cieniu długich murów z brunatnej cegły.

W miarę jak zbliżaliśmy się do Leningradu, wygląd podróżnych ulegał zmianie. Stawali się lepiej ubrani, młodszy, bardziej rozmowni. Nasi rówieśnicy. W mieście pasażerów pociągu przypominała jedynie stara kobieta w metrze, jakby zablakana, śpiesząca się, by zniknąć w labiryncie podziemnych korytarzy.

– My to stąd uciekniemy, do Bostonu albo do Londynu – oznajmił Arkady na pożegnanie. – Tutaj również zaczną w końcu produkować pachnące prezerwatywy. Ale starcy o pourywanym palcach już tego nie doczekają. I tym lepiej dla nich. Jutro wyjeżdżam. Jeśli masz jakieś arcydzieło do przekazania na Zachód...

Dostałem od niego trzy listy, wysłane z Izraela w odstępach mniej więcej pięcioletnich, a potem, po dziewięciu

latach, kartkę z Nowego Jorku. W pierwszym liście zawiadamiał mnie o narodzinach córki. W drugim donosił, że dziewczynka uczy się grać na pianinie. W trzecim (jego pismo bardzo się zmieniło) pisał, że nastolatka została ranna w zamachu i straciła trzy palce lewej ręki. Przeczytawszy to, na zasadzie idiotycznego skojarzenia pomyślałem o strzelcu, który czytał „Prawdę” w pociągu. Cóż za kretyński zbieg okoliczności: jak to zwykle bywa, w odpowiednim momencie uświadamia nam nieludzki absurd ludzkiej egzystencji. Myślałem również o potwornej mieszance radości i udręki, jaką odczuwać muszą rodzice dziecka, które wszyscy uważają za ocalone cudem.

Kartka z Nowego Jorku głosiła: „Gdybym przed laty potrafił sobie wyobrazić dzisiejszego siebie, tobym się powiesił na tej grubej rurze od spłuczki w klopie Wigwamu. Pamiętasz tę rurę, której rdza rysowała na ścianie głowę Mefistofelesa?”

Mnie ta rdzawa plama przywodziła na myśl raczej żaglowiec z nieskończone długim masztem.

Skądinąd to właśnie Arkady, kiedyśmy się rozstawali w leningradzkim metrze, zaproponował mi tę pracę, zobowiązanie, którego nie mógł już wykonać z powodu wyjazdu: wyprawę w okolice Archangielska i napisanie cyklu tekstów o miejscowych zwyczajach i obyczajach.

– Wiesz, na prowincji zawsze potrzebują kogoś z moskiewskiego albo leningradzkiego uniwersytetu. To do ich pamiątkowego albumu. Rocznica powstania miasta czy jakieś ludowe święto, sam już nie wiem. Jedź, zanotujesz jakieś bajdy o krasnoludkach z tamtejszych lasów, ale

przede wszystkim będziesz miał mnóstwo materiału do swojej antyradzieckiej satyry. Wyjeżdżam bardzo wcześnie rano, nie zawracaj sobie głowy odprowadzaniem mnie na lotnisko...

W sierpniu tego samego roku znalazłem się w wiosce Mirnoje, parę kroków od kobiety, która właśnie wyciągnęła z wody sieć rybacką. Kobiety, która czekała na ukończonego mężczyznę.

3

Owego dnia natknąłem się na nią w tym samym miejscu co za pierwszym razem, w wierzbynie nad brzegiem jeziora. Gałęzie zgubiły już liście, czerwona glina skarpy była cała cętkowana matowym złotem. Kobieta, ubrana w swój stary kawaleryjski płaszcz, w ciężkich buciorach z cholewami, pchała łódź zaklinowaną w mule wśród trzcin. Łódź zbyt dużą, zbyt ciężką, by nią kierować za pomocą wiosel, przeznaczoną bez wątpienia pod żagiel. Za to być może jedyną tutaj, która utrzymywała się jeszcze na wodzie.

– Pomóc pani?

Wyprostowała się, obdarzyła mnie roztargnionym uśmiechem, jakby poprzez matową szybę wspomnień, skinęła głową przyzwalająco.

Dzięki wspólnemu rytmicznemu wysiłkowi naszych ciał łódź zsunęła się do wody i natychmiast zaczęła lekko tańczyć na fali. Przytrzymałem burzę, żeby Wiera mogła wsiąść, po czym sam wgramoliłem się do środka i chciałem chwycić wiosło.

– Ja to zrobię – odparła łagodnie. – Jest za duży wiatr, trzeba mieć wprawę. Niech pan raczej ją weźmie...

Ją? Na deskach tylnej ławki spostrzegłem długi pakunek w grubym wełnianym kokonie. Jego kształt nie zdradzał żadnej konkretnej zawartości, a przy tym wzbudzał niejasny niepokój. Uniosłem pakunek, zdziwiony jego ciężarem spojrzałem na Wierę, która już wyprowadziła łódź daleko od brzegu, pod wiatr.

– To Anna – wyjaśniła mi. – Umarła trzy dni temu. Wyjechał pan akurat do miasta...

Anna, staruszka, którą widziałem na początku września wychodzącą z chatynki-łaźni w towarzystwie Wiery.

Usadawiłem się, ułożyłem sobie ciało zmarłej na kolanach, trzymając ją niezdarnie, jak czynią to bezdzietni mężczyźni, kiedy ktoś powierzy im niemowlę.

Bardzo szybki lot chmur sprawiał, że tego dnia przepłatały się w synkopowym rytmie mrok i przejaśnienia, wiosenne przebłyski i nawroty jesieni. Kiedy niebo zasnuwało się ołowiem, docierało do mnie, że obejmuję trupa, z kolei w rażącym blasku promieni odżywała we mnie niedorzeczna nadzieja: „Nie, to, co trzymam w ramionach, należy jeszcze do naszego świata, nierozzerwalnie związane ze słońcem, z przenikliwym chłodem fal”.

Blżej środka jezioro zaczęło się burzyć, kołyszac gwałtownie łodzią i bieląc pianą nawietrzną burtę. Ściskałem teraz moje brzemię, jak robiłbym to w przypadku każdego innego ładunku. Wiera z całych sił napierała na wiosła, rozgarniając ponurą wodę, która rozstępowała się z oporem galarety. Spoglądałem na to ciało kobiece,

pochylające się do przodu, przeginające do tyłu, na te napięte nogi, piersi i brzuch wyeksponowane w potężnym fizycznym porywie. Pod szorstką tkaniną płaszcza dojrzałem delikatny koronkowy kołnierzyk jasnej bluzki... Nagle fala uderzyła wściekle o burtę, musiałem dźwignąć tę, którą trzymałem w objęciach, ku swojej twarzy, zupełnie jakbym – w przyływie bólu – nie chciał się rozstawać z ukochaną istotą.

To podczas tej przeprawy, trwającej ostatecznie ledwie pół godziny, po raz pierwszy zastanowiłem się nad prawdziwym powodem mojego przywiązania do tej północnej wioski.

Po kilku tygodniach zorientowałem się, że pościg za miejscowymi zwyczajami i legendami równie dobrze mógłbym prowadzić w bibliotekach Archangielska. Cały ten folklor ceremonii weselnych czy pogrzebowych dawno już spisano w książkach. Tymczasem na miejscu, w pustych niemalże wioskach pamięć tradycji powoli zanikała wskutek braku możliwości przekazywania jej następnym pokoleniom.

Owo zapomnienie przeszłości jeszcze wyraźniej rysowało się w Mirmoje, gdzie mieszkały – że się tak wyrażę – ekspatriantki, te starowinki, które z rodzinnych domów wyгнаła samotność, choroby, obojętność bliskich. W odpowiedzi na moje pytania snuły wzruszające opowieści o własnych nieszczęściach. I o wojnie. To właśnie wojna wymazała z ludowej pamięci wszelkie inne legendy. Dla

starych mieszkańek Mirnoje stała się ona jedynym mi-
tem, wiecznie żywym i osobistym, w którym dobre bądź
złe duchy zastąpili ich mężowie, synowie, Niemcy i rosyj-
scy żołnierze, Stalin i Hitler. A w szczególności żołnierz,
na którego czekała Wiera.

Jak we wszystkich nowo powstałych mitach role bogów
i demonów nie zostały ustalone jednoznacznie. Niemcy,
objęci głęboką, namiętą nienawiścią, przybierali znienc-
ka melancholijną postać kucharza o imieniu Kurt. Zoja,
dorodną starucha o rysach pociemniałej z wiekiem iko-
ny, spotkała go w okupowanej wiosce pod Leningradem,
gdzie mieszkała w czasie wojny. Ów Niemiec przynosił
po kryjomu resztki jedzenia wiejskim dzieciom... W lo-
kalnej mitologii plasował się na równi z Hitlerem czy
z Żukowem.

Ostatecznie straciłem nadzieję na nagranie chórów we-
selnych, pieśni towarzyszących narodzinom albo śmierci.
Jedyna śpiewka, jaka pojawiała się na tych starych war-
gach, dotyczyła wymarszu rodzimych żołnierzy, którzy,
jak się zdawało, nie dopuścili do połączenia oddziałów na-
zistowskich i fińskiej armii marszałka Mannerheima.
A w konsekwencji uniemożliwili totalną blokadę Lenin-
gradu. Środki żywności docierały do oblężonego miasta
korytarzem, który mężczyźni z tych okolic usłali własny-
mi trupami. Czy rzeczywiście wszyscy pochodzili z tych
stron? Z Mirnoje? Powątpiewałem w to. Patrząc jednak na
wioskowe starowiny, zrozumiałem, że nie zostało im już
nic poza tą marną pociechą: przekonaniem, że to dzięki
ich mężom, braciom czy synom Leningrad nie padł.

Przed przybyciem do Mirnoje nazywałem to „oficjalną propagandą”. Teraz pojąłem, że była to zbyt wąska definicja.

Mój plan napisania satyry również okazał się trudny do zrealizowania. Chciałem zająć się systemem kołchozów godnym króla Ubu, ogólnym upojeniem dźwiękiem głośników emitujących motywujące slogany. Ale wioski były po prostu opustoszałe albo na wymarcu, a tutejszy sposób na przetrwanie niewiele się różnił od tego z epoki kamiennej. Udało mi się trafić na bardzo charakterystycznego alkoholika, znakomicie nadającego się na bohatera humorystycznej prozy dysydenckiej. Dom ogołocony na skutek jego pijackich wydatków, żona, jeszcze młoda, lecz postarzała o dwadzieścia lat, z wiecznym grymasem goryczy na twarzy, czworo milczących dzieci, zmuszonych mieszkać z tym mężczyzną, który czołgał się po podłodze, wymiotował, szlochał i którego trzeba było nazywać „tatą”...

Kończyłem pierwszą stronę mojej historii, kiedy mi powiedziano, że pijak się powiesił. Właśnie zajechaliśmy z Otarem do wioski, w której mieszkała rodzina samobójcy. Milicja i sędzia śledczy już tam byli. Mężczyzna skończył ze sobą w remizie, przywiązawszy sznur do klamki drzwi. Prawie siedział, z głową zadartą niczym w szaleńczym ataku śmiechu. Jego dzieci – jako że nikt nie pomyślał o tym, by je stamtąd zabrać – wpatrywały się w niego uporczywie, bez płaczu. Twarz żony wydawała się wręcz odprężona. Na ścianach remizy wisiały dawne narzędzia,

solidne i budzące zaufanie pomimo rdzy. Wielkie obcęgi, ciężkie korby, żelazne konstrukcje, których nazwy i zastosowanie dawno zostały zapomniane. Jedno z dzieci cofnęło się nagle i puściło biegiem przez ogromne, leżące ugięciem pole najeżone pożółkłymi chwastami.

Nie, to doprawdy nie był materiał na satyryczną opowieść.

Liczyłem na to, że odkryję w tym zapadłym zakątku rosyjskiej północy epokę radziecką w pigułce, karykaturę tego czasu, zarazem mesjańskiego i martwego. Ale w tych wioskach, które zdawały się trwać po zniknięciu reżimu, po upadku imperium, czas po prostu nie istniał. Przechadzałem się właściwie po swego rodzaju futurystycznym zwiastunie. Znaki Historii się zatarły. Zostały pozłacane blaszki wierzbowych liści na czarnej tafli jeziora, pierwsze śniegi, zazwyczaj pojawiające się nocą, cisza Morza Białego, którego oddech wyczuwałem za lasem. Została ta kobieta w długim wojskowym płaszczu, która wędrowała brzegiem jeziora i przystawała przy skrzynce na listy na rozstajach dróg. Została istota rzeczy.

W ciągu pierwszych tygodni mojego pobytu w Mirnoje nie śmiałem tego przyznać.

Później, tamtego wrześniowego popołudnia, haftowanego błyskami światła i przelotnym mrokiem, znalazłem się w ciężkiej łodzi, całkiem szerniałej ze starości, trzymając w ramionach martwą staruszkę, którą ogrzewałem własnym ciałem.

Gdy podpływaliśmy do wyspy, wiatr uspokoił się i wysiedliśmy na nasłonecznioną skarpe, można by powiedzieć, letnią, gdyby nie przesuszona mrozem trawa.

– Dawniej można tu było dojść pieszo, to wcale nie była wyspa, tylko wzgórze – wyjaśniła mi Wiera, dźwigając wraz ze mną ciało Anny. – Ale skoro nie było komu naprawić tam, jezioro podwoiło swoją powierzchnię. Mówi się, że któregoś dnia morze dotrze aż tutaj...

Uderzyło mnie brzmienie jej głosu. Był to głos nieskończenie samotny pośród bezkresnych wód.

Niskie już, zachodzące słońce nadawało naszej obecności nierealny wymiar, sekretny rys skończoności. Nasze cienie kładły się daleko w poprzek cmentarza pofałdowanego kopcami nagrobków, padały na łuszczący się tynk maleńkiego kościółka. Wiera pchnęła drzwi, zniknęła w środku, po czym wyłoniła się ponownie, niosąc trumnę... Ze ścian grobu sterczały ogromne ilości poucinanych korzeni. „Niczym tyleż przerwanych istnień”.

Przepowiadałem to sobie w duchu, gdyż nie potrafiłem uchwycić sensu tego, co odbywało się oto na moich oczach. Prosty pochówek, rzecz jasna. Lecz również nasze milczenie, silny wiatr, szamoczący się z kościelnym krzyżem, jakże banalne uderzenia młotka. Drżałem, żeby Wiera nie poprosiła mnie o przybicie wieka trumny, w śmiesznym lęku, że chybię, że wykrzywię gwóźdź... I ta myśl, kiedy za pomocą lin opuszczaliśmy trumnę do ziemi: ta zmarła, którą ogrzewałem, trzymając ją w ramionach, zabiera teraz ze sobą jakąś część mnie, ale dokąd?

Powrót z wiatrem wiejącym nam w plecy był łatwy. Kilka ruchów wiosła, Wiera powtarzała je powoli, jakby w zapomnieniu. Jej ciało odprężyło się i to odprężenie w pewnym momencie przywiodło mi na myśl rozluźnienie, jakie następuje po akcie miłosnym.

Jeszcze przez kilka tygodni wmawiałem sobie skutecznie, że siedzę w tej północnej krainie wyłącznie przez wzgląd na ewentualne odkrycia folklorystyczne. „W dodatku w Mirnoje człowiek ma święty spokój – powtarzałem sobie – nie trzeba płacić czynszu, połowa domów jest niezamieszкана, człowiek wchodzi i się urządza, to dopiero prawdziwy komunizm!”.

Czas w Mirnoje, ten czas szybujący w przestworzach, zawieszony, stopniowo mnie zasysał. Pochłaniał mnie nieuchwytny strumień jesiennych światła, ten okres, który miał na celu jedynie matowe złoto liści, delikatną koronkę szronu na cembrowinie studni wczesnym rankiem, upadek jabłka z nagiej gałęzi, w ciszy tak klarownej, że słyhać było szelest trawy uginającej się pod ciężarem owocu.

W tym życiu zapomnianym przez czas wszystko było jednocześnie ważkie i lekkie. Pochówek Anny, ten dzień ponury, a przecież naznaczony także ulotną świetlistością. Obok jej grobu krzyż z nazwiskiem niejakiego Wasilija Drozda i z nierównym dopiskiem, wyrzniętym nożem: „Dobry człowiek”. Wokół tego „dobrego człowieka” wianuszek rumianków, osłoniętych od wiatru ziemią

nagrobka. I pełne prostoty słowa Wiery: „Następnym razem dla niej też przywiozę krzyż”.

Często, widząc ją opuszczającą Mirmoje lub powracającą do wioski, powtarzałem: „Oto kobieta, która czeka od trzydziestu lat...”. Jednak tragiczny, rozpaczliwy ton, jaki nadawałem temu stwierdzeniu, wcale nie sprawiał, że stawało się definitywne. Niemal każdego ranka Wiera udawała się do szkoły, w której uczyła, po drugiej stronie jeziora. Zwykle szła brzegiem, ale kiedy wezbrana woda odcinała jej drogę, widziałem czasem, jak wsiada do starej łodzi. Odprowadzałem ją wzrokiem, mówiąc sobie: „Kobieta, która uczyniła ze swego życia nieustające oczekiwanie...”. Na chwilę otwierała się we mnie przepaść, lecz pozbawiona grozy, której się obawiałem.

Zresztą nic szczególnego w postawie Wiery nie zdradzało tego potwornego czekania. „Ostatecznie tyle jest samotnych kobiet, tutaj czy gdzie indziej”, jedyny argument, jaki znalazłem na uzasadnienie banalności ujęcia, przy którym owo zmarnowane życie było w ogóle do pomyślenia. „Tak wiele samotnych kobiet – wiedzionych siłą charakteru albo wstydem – nie okazuje swej udręki. Kobiet takich jak Wiera, choć może nie czekają aż tak długo...”.

Nawet skrzynka na listy na rozstajach dróg traciła stopniowo w moich oczach swe znaczenie zabójczyni nadziei. Na ogół to Zoja, najbardziej dziarska staruszka, chodziła po listy. Pozostałe babiny szykowały ją na tę wyprawę tam i z powrotem, jakby była to co najmniej podróż dookoła

świata, i czekały na Zoję, jakby każda z nich miała niechybnie dostać list. Zazwyczaj nie przychodziło nic. Czasem trafiała się kartka adresowana do tej, której już tu nie było... Kiedy napotykałem Zoję w roli listonosza, prosiłem, żeby mi przyniosła jakiś ładny list miłosny. Uśmiechała się przekornie i odpowiadała: „Jeszcze trochę cierpliwości, już ścinają drzewo na papier do pańskiego listu. Proszę jeszcze poczekać!”. I ruszała w dalszą drogę, a godzinę później wracała z lokalną gazetą pod pachą. Zdarzało mi się ją czytać: nawet te aktualności, geograficznie tak bliskie wobec Mirnoje, zdawały się pochodzić z innego świata, z epoki, w której istniał czas.

4

Najbliższym miastem, w którym czas jeszcze płynął, była stolica powiatu. Poznałem krąg lokalnej inteligencji: zastępcę dyrektora Domu Kultury, młodą kierowniczkę miejskiej biblioteki, chirurga z tutejszego szpitala, pielęgniarkę, dwie nauczycielki (rysunku i historii), dziennikarza gazety „Droga Lenina” i paru innych.

Z zaskoczeniem – choć właściwie nie powinno mnie to dziwić – odkryłem, że mają swój własny „Wigwam”, tutejsi dysydenci spotykali się w wielkiej chacie zastępcy dyrektora. Ten sam sprzeciw wobec reżimu podgrzewał ich dyskusje. Tyle że, podczas gdy my, w Leningradzie, piętnowaliśmy przede wszystkim Kremlowskie zoo i jego dinozaury, tutaj potworami do obalenia byli sekretarz lokalnego komitetu partii i redaktor naczelny „Drogi Lenina”. Podczas późnonocnych i solidnie zakrapianych debat tego ostatniego porównywano wręcz do Goebbelsa...

Mnie przypadła w udziale pozycja zaiste godna pozazdroszczenia: przyjechałem z intelektualnej stolicy kraju, z jedyne go prawdziwie europejskiego miasta imperium,

byłem zatem prawie człowiekiem Zachodu. Moja rola na tutejszych wieczorkach przypominała tę, jaką dziennikarz amerykański odgrywał w naszym leningradzkim Wigwamie. Wszelkie inscenizacje kontestacyjne i miłosne pomagały się mojego uznania. Któregoś razu (dziennikarz porównywał właśnie naczelnego do Goebbelsa) pomyślałem złośliwie, że niestety nie mogę im ofiarować przeterminowanych o smaku egzotycznych owoców.

Byłem jedynie figurantem Zachodu.

Pod koniec września co wieczór szykowałem się do wyjazdu z Mirnoje następnego ranka. I zostawałem. Wmawiałem sobie, że koniecznie muszę doczekać do ceremonii zaślubin, którą starowiny obiecały odtworzyć dla mnie któregoś dnia.

– Jaka szkoda – mówiły – że Anny nie ma już wśród nas. Co za strata, to ona była naszą solistką. My znamy jedynie refreny.

Sama ceremonia, według nich ściśle związana z tym regionem, była prosta. Narzeczony zawoził swą wybrankę na wzgórze, gdzie znajdował się kościół, kariatydą, jeśli droga na wyspę była przejezdna, łodzią, jeśli wezbrana woda zalewała łąki. W tamtą stronę sam powoził bądź wiosłował, w drodze powrotnej proponował młodej małżonce wspólne prowadzenie. „Dopóki nie wysłucham śpiewów towarzyszących obrzędowi, nie mogę wyjechać...”. Często tak właśnie usiłowałem się usprawiedliwiać.

Aż do tamtego dnia, być może. Gęsta mgła, niewyraźna sylwetka kobiety stojącej w łodzi. Wiera wracała do

wioski. Chwyciłem krawędź długiego wiosła, które mi podała, pomogłem jej wyciągnąć dziób łodzi na gliniasty brzeg. I w tej spowijającej nas lodowatej mgłę poczułem, że drewno wiosła zachowało ciepło jej dłoni. Jeszcze nigdy ta kobieta nie wydawała mi się tak bliska.

Następnego dnia, wciąż w tej wełnistej ślepotie mgły, Otar, którego złapałem na autostopie przy wyjeździe ze stolicy powiatu, zabłądził. Chciał mi pokazać opustoszałą wioskę, drewniany kościółek, ale kiedy zjechaliśmy z głównej drogi, znaleźliśmy się w zbitej kosmatej bieli, którą od czasu do czasu przesywała jakaś gałąź i smagała przednią szybę. Koła ciężarówki buksowały, wymykały się spod kontroli, drążąc coraz głębsze koleiny, bryzgało błoto. Zawracaliśmy, cofaliśmy, posuwaliśmy się naprzód po omacku, ale wszędzie zdawał się rozciągać ten sam nasączony wodą torf. Drzewa wyłaniały się przed nami z uporem sennych mar.

W końcu Otar wyłączył silnik, wysiadł, zniknął, a po upływie minuty wrócił.

– Nie, w takiej zupie lepiej się nie ruszać. Odszedłem może na dwa metry i straciłem z oczu ciężarówkę... Raczaj sobie golnijmy. I poczekajmy, przed wieczorem zerwie się wiatr...

Piliśmy, najpierw obaliliśmy pół butelki wódki, którą Otar trzymał pod siedzeniem, następnie butelkę gruzińskiego wina, „tylko dlatego, że jesteś facetem, który potrafi słuchać”, podkreślił. Zmierzch zabarwił mgłę na szaroniebiesko i to zaciemnienie przyjemnie harmonizo-

wało z naszym pijaństwem. Swoim zwyczajem Otar mówił o kobietach, ale przeszkodziło mu pojawienie się – ostrożne i połączone z czujnym niuchaniem – czterech dzików: matki z trzema małymi. Na pewno one też zbłądziły w tej mroźnej, osadzającej się szronem bieli. Obwąchały koła ciężarówki, po czym rzuciły się do ucieczki, gnane naszymi wybuchami śmiechu.

– A, właśnie, znam jedną historyjkę o świniach – zagaił Otar. – Naprawdę świński dowcip. Rosjanin, Gruzin i Azer wracają do swojej wioski po tęgiej popijawie. I nagle ogromna maciora przebiega im drogę i ucieka. Chce się precyzyjnie dziurą w ogrodzeniu, ale jej tłusty zadek zostaje zaklinowany. Maciora wierzga, piszczy, wywija ogonem. Rosjanin spogląda na ten gruby tyłek i mówi: „Ach, gdyby to była Sophia Loren!”. Gruzin wzdycha: „Ach, gdyby to była żona mojego sąsiada!”. A Azer ślini się i jęczy: „Ach, gdyby to była noc!”. Cha! cha! cha!...

Nasz śmiech mógłby wypłoszyć wszystkie dziki z lasu, ale potem, gdyśmy się już uspokoili, Otar długo milczał, powodowany tą pijacką intuicją, co nagle każe nam wykrzyć w naszej wesołości pewien fałsz i człowiek się zasepia, pogrąża w bólu istnienia, który dopada go niespodziewanie z ogromną siłą.

Mgła rozproszyła się. Może sto metrów od podszycia lasu, gdzieśmy ugrzęźli, zarysowało się skrzyżowanie dróg, słup ze skrzynką na listy i niewielką tabliczką z nazwą Mirnoje powyżej. W świetle zachodzącego słońca, matowionym jeszcze smugami mgły, napis zdawał się wyłaniać z nicości, niczym drogowskaz w chaosie opustoszałej planety.

Już miałem wysiąść, kiedy Otar zaczął mówić głosem głuchym i smutnym, o jaki nigdy bym go nie podejrzewał:

– Chcę ci dać pewną radę, jesteś młody, może ci się przydać. W miłości zachowuj się jak ten wieprz Azer. Tak, żeby nie cierpieć, trzeba być wieprzem. Widzisz kobitkę, przelecisz ją i przechodzisz do następnej. A przede wszystkim nie próbuj się zakochiwać. Ja spróbowałem i zarobiłem sześć lat w obozie. To ona, moja pieprzona ukochana, żeby ją tak wydymało sto razy dziennie, mnie zdradziła, to ona doniosła, że handluję skórami i futrami. Sześć lat w obozie i cztery lata na zwolnieniu warunkowym w tej północnej brei. Dziesięć lat życia do tyłu. Ale teraz, basta! Z kobietami jestem wieprzem, bo one są maciory, jedna w drugą. Wbijasz się w taką, robisz swoje, a potem pytasz: na którą teraz kolej? – Umilkł, po czym uśmiechnął się kwaśno. – Ty jesteś artysta, trzeba ci piękna i czułości. Ale jedno musisz pamiętać: wszystkie kobiety to maciory, które utknęły w dziurze w płocie. A te, które takie nie są, cierpią. Jak ona... Jak Wiera.

Odjechał z impetem, woda wzburzyła się w koleinach, po czym znów opadła, odbijając łunę zachodu.

W oddali, pod żurawiem studni, ujrzałem Wierę. Długie wątki mgły, szkarłatny blask zachodzącego słońca, głęboka cisza i ta kobieta, zupełnie nieświadoma słów, które właśnie padły.

Tym, co mnie trzymało w Mirnoje, było może poczucie szczególnego wyobcowania, jakiego nigdy przedtem nie doznawałem tak intensywnie. W tym czasie, w ja-

kim trwała wioska, rzeczy i istoty żyjące zdawały się wyzwać ze swej użyteczności i zaczynały być kochane za samą swą obecność pod tym północnym niebem.

No, bo jaki niby był pożytek ze zbierania grzybów, którego pewnego dnia podjęliśmy się z Wierą? Nie umawiając się ani niczego nie przewidując, jak zawsze działo się to tutaj. Wiedzieliśmy, że nasze zbiory ograniczą się do kilku prawdziwków nadgryzionych przez mrozy, może tuzina surojadek, kruchych jak szkło. W tym lesie, już na wpół bezlistnym, szliśmy obok siebie, niewiele mówiąc, często zapominając o gestach zbieraczy. A kiedy przypominaliśmy sobie, że trzeba rozgarniać paprocie, unosić opadłe liście, wkładaliśmy w te czynności nadmierny zapał, niczym przyłapani na gorącym uczynku próżniacy. W tych porywach nadgorliwości traciliśmy się z oczu i wtedy bardzo intensywnie odczuwałem oddalenie tej kobiety, a potem, gdy gdzieś obok trzasnęła gałązka, nasze ponowne zbliżenie. Niekiedy Wiera pojawiała się bezgłośnie, zupełnie znienacka, zastając mnie pogrążonego w sennej transfuzji szelestów i ciszy. Od czasu do czasu to ja ją zaskakiwałem, zupełnie samą wśród drzew. Miałem wówczas wrażenie, że jestem dziką bestią czyhającą na bezbronną ofiarę. Wiera odwracała się i w pierwszej chwili zdawało się, że wcale mnie nie widzi albo na moim miejscu postrzega kogoś innego. Podejmowaliśmy naszą włóczęgę z poczuciem, że nie zdobyliśmy się na wyznanie.

W istocie cel tej wędrówki stanowił widok długiego kawalerskiego płaszcza, który nosiła Wiera, grubej tkaniny usianej maleńkimi, żółtymi i czerwonymi płatkami.

Widok jej oczu, gdy po chwili zapomnienia znów zaczynały odwzajemniać moje spojrzenie. Dźwięk jej głosu: „Tą ścieżką można dojść aż do morza. To jakieś pięć, może sześć godzin marszu. Gdybyśmy wyruszyli teraz, dotarlibyśmy na wybrzeże około północy...”.

Cel tego życia poza czasem stanowiła wizja naszego przybycia w środku nocy nad brzeg Morza Białego.

Albo może tamten wieczór, kiedy wróciliśmy z Otarem do wioski, a on mówił o „wieprzach” i „maciorach”. W głębi studni utworzyła się cieniutka warstewka lodu (dołączyłem do Wierzy, która czerpała wodę). Pękający lód zabrzmiał jak klawesyn. Spojrzeliśmy na siebie. Oboje już, już chcieliśmy skomentować piękno tego dźwięku i oboje się rozmyśliśmy. Echo klawesynu rozplynęło się w świetlistym powietrzu, zlało z miarowymi żałami wilgi, z zapachem drzewnego dymu dobywającego się z sąsiedniej chaty. Piękno tej chwili miało po prostu stać się naszym życiem.

Była także olcha, która jako ostatnia zachowała w stanie nienaruszonym olbrzymi czepiec miedzianych liści. Pochylała się nad taflą jeziora w miejscu, gdzie Wiera zazwyczaj przybijała do brzegu. Płynąc łodzią, widzieliśmy z daleka tę ruchomą piramidę rdzawych sztabek i strześliśmy jej niczym ostatniej ostoji lata, stawiającej opór jesiennego nagości.

I nagle, pewnego ranka, para naszych równoczesnych „Ach!” rozwiała się w powietrzu – wszystkie liście, do ostatniego brązowego krążka, opadły w ciągu nocy. Czar-

ne obnażone gałęzie przecinały, niczym szczeliny, rażący błękit nieba. Podpłynęliśmy bliżej, zdołaliśmy powstrzymać okolicznościowe frazesy („To było zbyt piękne, by mogło trwać...”). Ale schodząc na brzeg, zobaczyliśmy, że cały ten miedziany splendor liści odtworzył na wodzie ten sam wzór, który został utracony na niebie. Gładka czarna woda i ta czerwono-złota inkrustacja. Mozaika jeszcze bardziej rozległa, rozprzestrzeniająca się z wolna pod wpływem wiatru na podobieństwo odwróconego baldachimu, gotowego przesłonić całe jezioro. Nie sposób było oderwać wzroku od tej bezkresnej rozległości. Powstawało inne piękno, nowe i niebywałe, jeszcze bogatsze niż przedtem, jeszcze żywsze po swej jesiennej śmierci.

Tak oto w moim ówczesnym języku utrwaląłem te pozbawione czasu chwile światłości. Przeczuwałem, że nie są to pojedyncze cząstki harmonii, lecz całe odrębne życie. Takie, o jakim zawsze marzyłem. O jakim myślałem pod pękniętą szybą lukarny w Wigwamie. Tu, w Mirnoje, takie życie było możliwe, życie z dnia na dzień, któremu towarzyszyłaby pewność, że tak właśnie należało żyć od zawsze.

Usiłowałem je zawrzeć w tych notatkach rozproszonych między próbkami prozy satyrycznej a opisami obrzędów i legend.

W tym samym notesie ten oto fragment, zapisany któregoś wieczora: „W nocy gwałtowny wicher porwał łódź na środek jeziora. Drogi są nie do przebycia, więc żeby się udać do szkoły, Wiera musi cierpliwie czekać, w nadziei, że powiew od morza zwróci jej łódź. Zrywa się lekki wietrzyk, widzimy, jak czółno powolutku zmierza w naszą

stronę. Gdzie indziej takie czekanie wydawałoby mi się nie do zniesienia, tutaj ten unoszący się na wodzie kawałek drewna odmierza rytm słońca, przenikliwego mrozu, kobiecego głosu, który w rzadkich słowach unosi się w powietrzu niczym oderwane akordy melodii. I ten trzask lodu, rozbijanego przez nas na zamrożonej krawędzi brzegu. Skomplikowane rozety szronu, poprzez które – dla zabawy – spoglądamy na niebo, na jezioro, na siebie nawzajem, przeobrażonych przez te wachlarze z kryształków. Lód topnieje, kruszy się w naszych palcach, ale w oczach mamy jeszcze przez kilka sekund wizję przeobrażonego świata. W pewnym momencie zaskakuje nas szelest w wierzbini: łódź, popychana wiatrem od Morza Białego, właśnie przybiła do brzegu. Zupełnie nie zdawaliśmy sobie sprawy z upływu czasu”.

Niekiedy, zupełnie szczerze, mówiłem sobie: „To kobieta, która żyje dla tych rzadkich chwil piękna. Cóż więcej mogłaby ofiarować ukochanemu mężczyźnie?”. Rozumowałem wówczas, w niejasnym przeczuciu, że poprzez te ulotne chwile Wiera łączy się na swój sposób z tym, na którego czeka.

5

Tamtej nocy właśnie zapisałem w notesie przygodę z łodzią...

W pewnym momencie o północy w krystalicznej ciszy dał się słyszeć głuchy dźwięk, trzaśnięcie drzwi w oddali. Wyszedłem i zdążyłem zobaczyć, jak wejście do małej kąpielowej chatynki na pochyłości wiodącej w stronę jeziora rozjaśnia się na krótką chwilę. Drzwi znów się zamknęły, ciemność jednak nie była całkowita. Przyczajony pod mlecznym błękitem księżyc sprawiał, że domy i drzewa zamarły w podejrzliwym, fosforyzującym wy-czekiwaniu. W wiosce panował dziwny spokój, niezakłócony najmniejszym powiewem. Pył drogi pod moimi nogami był srebrzysty i aksamitny.

Zacząłem iść, nie wiedząc, dokąd zmierzam. Z początku nabrałem po prostu ochoty, by zatopić się w tej mglistej, nieco teatralnej świetlistości, w której wszelkie czary i zaklęcia zdawały się możliwe. Szybko jednak, ze zdecydowaniem lunatyka, znalazłem się przy łaźni.

Małeńkie okienko, wielkości dwóch dłoni, rozświetlało cytrynowe halo, zapewne pochodzące od świeczki. W powietrzu unosił się zapach palonej kory, połączony z cierpką świeżością sitowia i mokrej nadbrzeżnej gliny. Ciepła noc, chwila wytchnienia przed ostatecznym szturmem zimy. I to poczucie, że moja obecność tutaj jest całkowicie niewłaściwa i zarazem konieczna do czegoś niepojętego. Myśli, jakie mnie nachodziły, były nieokrzesane, nieokiełznane: zbliżyć się do małego okienka, podejrzeć kobietę, która namydląła właśnie swe nagie ciało, albo pchnąć po prostu drzwi, podejść do tej kobiety, objąć to śliskie ciało, nietykalne, rzucić na wilgotne deski, posiąść...

Nagle przypomnienie, kim jest ta kobieta, wyrwało mnie z tych majaczeń. Przywołałem w pamięci dzień, kiedy to wiatr porwał łódź, kawałki lodu, przez które spoglądaliśmy na niebo, twarz Wiery migoczącą tęczowo w załamaniach szronu, jej niewyraźny uśmiech, jej oczy, które odwzajemniały moje spojrzenie poprzez lodową koronkę topniejącą jej w dłoniach. Ta kobieta znajdowała się poza wszelkim pożądaniem. Kobieta, która czekała na ukochanego mężczyznę.

W tym momencie drzwi się otwarły. Ta, która się z nich wyłoniła, była naga: wyszła z łaźni i stojąc na drewnianym schodku, wdychała świeżość jeziora. Matowa poświata księżyca nadawała jej wygląd posągu z niebieskawego szkła, odsłaniając w najdrobniejszych szczegółach wypukłość obojczyków, krągłość piersi, zarys bioder, na których błyszczały kropelki wody. Nie widziała mnie, skrytego w kanciastym cieniu stosu drew. Zresztą

oczy miała przymknięte, jakby w postrzeganiu świata kierowała się węchem, zwierzęcym instynktem. Łapczywie czerpała powietrze, ofiarowała swe ciało księżycowi, oddając się nocy i czarnej toni jeziora.

Wszystko, co dotychczas myślałem o tej kobiecie, wszystkie obserwacje dotyczące jej życia, jakie poczyniłem, wydawały się bez znaczenia wobec tej fizycznej obecności, nagiej, oślepiającej. Ciało zdolne się oddać, przeżywać rozkosz, w jednej chwili, po prostu, z całkowitą naturalnością. Nic nie stało na przeszkodzie, poza tamtą dawną obietnicą, niemalże legendarną: oczekiwaniem na zaginionego żołnierza. Widmo przeszłości ciążyące nad kobietą gotową kochać i być kochaną. Nie! Nawet nie kochać, a jedynie zatracić się w zmysłowości. W nocnej ciszy słyszałem jej oddech, wyczuwałem drżenie nozdrzy – wilczyca albo łania wietrząca zapachy dochodzące znad jeziora... Odwróciła się i – zanim zniknęła za drzwiami – pozwoliła księżycowi uwypuklić na krótką chwilę muskularną jędrność pośladków.

Następnego ranka, powodowany niejasną żądzą, znów udałem się do łaźni. Odwracałem się nerwowo raz po raz w obawie, że ktoś przejrzy moje zamiary, których zresztą sam sobie nie potrafiłem wyjaśnić. Wnętrze chatynki, okopcone przez długie lata opalania, wydawało się zimne, smutne. Na wąskim parapecie ogarek świeczki. W kącie, przy piecu, wielka żeliwna kadź osadzona na piramidzie pokrytych sadzą kamieni. Odrobina wody na dnie czerpaka. Kwaśna woń wilgotnego drewna. Nie

sposób wyobrazić sobie żar ognia, duchotę pary, rozgrzane ciało kobiece, cierpiące męki w tym przyjemnym piekielku... I nagle ten maleńki, wytarty od noszenia pierścionek, zapomniany na ławie pod oknem!

Uciekłem, rojąc sobie, że na skutek diabelskiego zbiegu okoliczności, jak to się często zdarza w tego typu sytuacjach, Wiera wróci po pierścionek i zobaczy mnie tutaj. Ów pierścionek nadawał mojej nocnej wizji niepodważalną realność. Tak, ta kobieta tu była, kobieta posiadająca ciało stworzone do rozkoszy i miłości, kobieta, która być może niczego innego nie pragnęła, jak tylko znaku, lekkiego kuksańca od losu, który zwolniłby ją z tego absurdu, złożonego przed trzydziestu laty ślubu. Ów zdjęty z palca pierścionek okazał się bardziej przekonujący niż wszystkie przypuszczenia, jakie mnożyłem w swoim notesie.

Byłem pewien, że nie podejmę już więcej tych zapisów dotyczących życia Wiery.

Dwa dni później pisałem: „Mieszkańcy Mirnoje, którzy niegdyś opuścili swoje domy, zabrali ze sobą wszystko, co się dało. Siedziba lokalnych władz (chata niewiele większa od pozostałych) również została opróżniona. Próbowano wytaszczyć na zewnątrz ogromne lustro, pozostałość po epoce sprzed rewolucji. Pech lub niezdarność spowodowały, że ledwie wyniesione za drzwi lustro pękło, długa rysa dosłownie je przepołowiła. Bezużyteczne teraz, porzucone, stało oparte o bale domu. Górna część ukazuje wierzchołki drzew i niebo. Twarz osoby, która się przegląda, zostaje uniesiona ku chmurom. Na dole odbijają się kole-

ny na drodze, nogi przechodniów oraz – gdy spojrzeć nieco z ukosa – zarys jeziora, raz błękitny, to znów ciemny... Wieczorem zaskakuję Wierę przed lustrem. Stoi bez ruchu, nieco pochylona nad matową taflą. Kiedy odwraca się na odgłos moich kroków, dostrzegam wyraźnie w jej oczach dzień całkiem inny od dzisiejszego, inne niebo, a na moim miejscu innego mężczyznę. Jej wzrok przyzwyczajają się do rzeczywistości, Wiera rozpoznaje mnie, pozdrawia i rozchodzimy się w milczeniu... Wszystkie moje wypociny opisujące nagą kobietę przed drzwiami łaźni są nedorzeczne. Jej życie tak naprawdę składa się wyłącznie z tych chwil bolesnego piękna”.

Zauważyłem, że niektóre starszki z Mimoje, przechodząc obok wielkiego porzuconego lustra, przystają czasem i chustką do nosa przecierają mokrą od deszczu powierzchnię.

To właśnie po naszym spotkaniu przy pękniętym lustrze zapragnąłem pojąć, jak można czekać na kogoś przez całe życie.

II

1

Z tego życia znałem tylko dwa momenty, a przecież to one właśnie wyczerpywały je w całości.

Moment pierwszy: przygaszony i dość ciepły kwietniowy dzień, szesnastoletnia dziewczyna brnie w mokrym śniegu. Odprowadza wzrokiem konwój złożony z czterech wielkich sań, sunących przez szarą breję odwilży niczym płaskodenne łodzie. Wśród młodych roześmianych twarzy powołanych do wojska te smutne oczy, w które dziewczyna wpatruje się uporczywie. Przyspiesza kroku, ślizga się, oczy znikają za czyimś ramieniem, potem znów się pojawiają, odnajdują ją w bezkresnej pustce ośnieżonych pól.

Początek kwietnia 1945 roku, ostatni kontyngent został wysłany na front, a w ostatnich saniach ten młody żołnierz, mężczyzna, którego ona kocha, któremu przy pożegnaniu przyrzekła coś takiego jak wieczną miłość, coś dzieciennego, domyślam się, tak, bezwzględną wierność czy też czekanie aż do śmierci, nie wiem, co kobieta, która kocha po raz pierwszy, może obiecać mężczyźnie,

sam nigdy nie otrzymałem podobnej obietnicy, zresztą nigdy nie wierzyłem, by jakkolwiek kobieta była w stanie jej dotrzymać... Konwój skręca za lasem, dziewczyna wciąż idzie śladem sań. W powietrzu unosi się oszałamiający zapach wiosny, koni, wolności. Dziewczyna przystaje, rozgląda się. Wszystko jest znajome. Rozstaje dróg, jezioro, czerń lasu nad nabrzmiałą powierzchnią wody. Wszystko jest nie do poznania. I tak pełne życia. Innego życia. Nagle, z bardzo daleka, wznosi się głos, trwa chwilę w półmroku równiny, zamiera. Dziewczyna słucha: „... wróć” wykrzywane z całych sił staje się echem, potem ciszą, a wreszcie wewnętrznym brzmieniem, które już jej nie opuści.

Tamten moment, pierwszy, który wyobraziłem sobie dzięki opowieściom starowinek z Mirnoje, i ten drugi, którego byłem świadkiem: jasny i zimny wrześnieowy wieczór, czterdziestosiedmioletnia kobieta podąża brzegiem jeziora, przemierza tę samą drogę od trzydziestu lat, omiata przypadkowego przechodnia tym samym pogodnym spojrzeniem, a w jej marzeniach z niesłabnącą siłą wciąż wibruje ten sam głos: „... wróć!”.

Między tymi dwoma etapami jej życia, między tamtą młodzieńczą przysięgą a przyszłością, którą zniweczyły nieopatrznie złożone śluby, próbowałem odnaleźć dzień, kiedy szala się przechyliła, kiedy tych kilka pospiesznych słów, wyszeptanych we łzach rozstania, stało się przeznaczeniem.

O tragedii jej życia, mówiłem sobie, przesądził niemalże przypadek. Bezładny ciąg drobnych codziennych spraw, pozornie niewinnych zbiegów okoliczności, splot zdarzeń i dat, które z początku nie zapowiadały jeszcze nic nieodwracalnego. Owa dyskretna mechanika, która wprawia w ruch wszystkie prawdziwe dramaty naszego życia.

W kwietniu 1945 roku, kiedy mężczyzna, którego kochała, wyjechał na front, Wiera miała szesnaście lat. A zatem pierwsza miłość, bez możliwości jakiegokolwiek odniesienia, wpisania tej historii w szereg innych miłości swego życia. Gdyby ów mężczyzna zginął na początku wojny, gdyby ona była starsza, gdyby już wcześniej kochała, wszystko potoczyłoby się inaczej. Jednak w dniu ich rozstania Berlin właściwie już padał i śmierć tego osiemnastoletniego młodzieńca wydawała się okrutnie bezsensowna i jakże łatwa do uniknięcia. Raptem kilka dni, jedna bitwa mniej, a wróciłby i w maju życie zaczęłoby się od nowa: małżeństwo, dzieci, zapach żywicy na świeżych sosnowych deskach, trzepot czystej bielizny na wietrze wiejącym od Morza Białego. Gdyby tylko...

Zdawałem sobie sprawę, że pisarze dawno już wyczerpali wszystkie te „gdyby”, w książkach, w scenariuszach filmowych. W Rosji, w Niemczech. Obydwa kraje, jeden zwycięski, drugi pokonany, w latach powojennych z nieślabnącą pasją opisywały raz po raz tę samą scenę: żołnierz wraca do rodzinnej miejscowości i odkrywa, że jego żona, czy też ukochana, wie dzie szczęśliwe życie w ramionach

innego. Wieczny pułkownik Chabert... Czasem żołnierz wracał okaleczony i był z tego powodu odtrącony. Czasem dowiadywał się o zdradzie i wybaczał. Czasem nie wybaczał. Czasem ona czekała, aż wreszcie przestawała czekać, a on zjawiał się w chwili, gdy miała powtórnie wyjść za mąż. Wszystkim tym delikatnym kwestiom nieodłącznie towarzyszyły bolesne „gdyby”, co w sumie nie było pozbawione słuszności, tyle przecież wojna zostawiła po sobie – w obydwu krajach – rozdzielonych par, tyle złamanych serc.

Usiłowałem zrozumieć życie Wiery poprzez tę literaturę, rozważyć owe „gdyby”, które mogły być wszystko zmienić. Ale niewiarygodne czekanie przez trzydzieści lat (sam liczyłem ich dwadzieścia sześć) zbyt mnie przytłaczało swą bezdyskusyjnością, żeby z niego robić problem moralny. A przede wszystkim zdawało mi się zupełnie nieprawdopodobne jako temat książki. Tak, oczekiwanie zbyt długie jak na powieść, zbyt boleśnie prawdziwe.

Tę brutalną prawdę widziałem także w nieprzyzwoitej prostocie, z jaką to życie zostało zniweczone, w haniebnej banalności kolejnych lat, z jakich składał się ów trzydziestoletni monolit. Z początku bowiem, wraz z nastaniem pokoju nic nie wyróżniało Wiery spośród milionów innych kobiet, które straciły swych mężczyzn. Wszystkie czekały tak samo jak ona, młode wdowy, osamotnione kochanki. Żadna szczególna zasługa. To ich czekanie było wówczas powszechne, a ich rozpacz całkiem zwyczajna.

W istocie, aby dogłębnie zbadać jej nieszczęście, pokuśiłem się o stwierdzenie jeszcze bardziej dosadne, niemalże sprośne: podczas tych pierwszych powojennych lat kobiety dochowywały wierności swym zmarłym ukochanym, ponieważ nie starczało żywych. Przyczyna była tak głupio prozaiczna! Wobec dziesięciu milionów wymordowanych mężczyzn, tyłu samo okaleczonych, narzeczony stał się rzadkim towarem.

Rozumowanie obrzydliwe, ale – wiedziałem dobrze – trafne jak diabli. Jedyne, które pozwalało mi wyobrazić sobie Mirnoje takim, jakie było przed trzydziestu laty. Przedziwna osada złożona z kobiet, dzieci i starców. Prócz tego kilku mężczyzn noszących na żołnierskich bluzach odznaczenia wojskowe, zgorzkniałych bezrękich, upojonych winem beznogich, bohaterskich niedobitków zwycięstwa. I ta młoda dziewczyna, ta Wiera, której wierność pozostawała zrazu niezauważona, później wzbudzała pełne szacunku i współczucia uznanie, z czasem zaś wywoływała znużenie połączone z rozdrażnieniem, wzruszenie ramion, jakim obdarza się wioskowych idiotów, a potem z kolei obojętność, która przerażała się niekiedy w swego rodzaju dumę, jaką tubylcy przejawiają wobec miejscowej ciekawostki, świętej relikwii, malowniczej skały.

I wreszcie pewnego dnia nic już z tego wszystkiego nie zostało. Jedyne ta przejrzysta nicość wrześnieowego nieba i ta sama wierna kobieta, trzydzieści lat starsza, prowadząca łódź po osłonecznionym zwierciadle jeziora. Taka, jaką ją ujrzałem i poznałem. Daremność wszelkiego osądu, czy

to podziwu, czy to sceptycyzmu. I tylko ta myśl rozpraszająca się w świetlistym powietrzu: „Tak to jest”.

Bardziej z troski o prawdę niż z młodzieńczego cynizmu pragnąłem odrzeć jej życie z wszelkiej gotowości do poświęcenia, z wszelkiej emfazy. Wiera nigdy tak naprawdę nie miała wyboru. Siła rzeczy, owo przeznaczenie ubogich, zadecydowała za nią. Z początku brak mężczyzn do poślubienia, a następnie, kiedy w odradzającej się wiosce znów zaczęto zawierać śluby, była już postrzegana jako swego rodzaju młoda stara panna. Pojawiło się nowe pokolenie, prawdziwi młodzi, beztroscy wobec wojennych cieni, niecierpliwi, by zaznać własnej części szczęścia, nieufni wobec tej samotnej kobiety, pół-wdowy, pół-narzeczonej, odzianej w długi kawaleryjski płaszcz. Ich radość życia zepchnęła ją w starość, podobnie jak gwizd pociągu wyklucza z dalszej jazdy spóźnionego pasażera.

A przecież niemożliwością było wyrwać się z tej zapadłej dziury, Mirnoje! W owym czasie kolchoźnicy nie posiadali dowodów tożsamości i żeby się gdziekolwiek przenieść, musieli prosić o pozwolenie. To nie echo głosu za lasem ją tu trzymało, lecz biurokratyczne zniewolenie. A kiedy na początku lat sześćdziesiątych stalinowscy niewolnicy, wreszcie oswobodzeni, zaczęli opuszczać swoje nory, Wiera miała już wokół siebie umieralnię starowinek, których nie mogła porzucić.

Nie, ona nie wybrała czekania, została bezlitośnie schwytana w pęta własnej epoki, własnej wojennej przeszłości, która zatrzasnęła się nad nią niczym pułapka na myszy.

Ale w takim razie to oznaczało, że jest całkowicie wolna! I że ta jej przysięga dawno straciła ważność.

Była wolna i mogła w każdej chwili opuścić wioskę, tak jak to zrobiła w dniu wielkiego wiatru, na początku października. Ujrzałem ją nie jak zwykle ze skórzaną torbą wyładowaną podręcznikami i wypracowaniami uczniów, ale z wielkim segregatorem z grubej tektury, który gwałtowne podmuchy wiatru usiłowały jej wyrwać. W jej chodzie była jakaś niefrasobliwa lekkość, zamaszystość przywodząca na myśl wędrowną artystkę albo poszukiwaczkę przygód. Mijając skrzynkę na listy na rozstajach dróg, nie zatrzymała się. Przez chwilę miałem wrażenie, że to jej ostateczne rozstanie z Mirnoje, szaleńczy wybryk na przekór wszystkiemu. Zamierzała złapać pociąg do Leningradu albo przynajmniej do Archangielska...

Była wolna. A ta postawa w stylu *mater dolorosa* została jej nadana przez innych. To my narzucaliśmy jej to absurdalne czekanie, bardzo szlachetne, pewnie, heroiczne wręcz, z którego jednak ona dawno by się otrząsnęła, gdyby nie nasze pełne współczucia i podziwu spojrzenia. To te spojrzenia przemieniły ją w słup soli, w piękną stelę nagrobną, u której stóp nic tylko zebrać się i wzdychać: „Ach, są jeszcze na tym świecie wierne kobiety!”. Uczyniliśmy z paplaniny zakochanej szesnastolatki nieodwołalne śluby. A z pełnej życia kobiety zwęgloną *sati* na stosie samotności.

Te moje osądy były zapewne przesadzone i nazbyt wydumane, czułem jednak niejasno, że muszę za wszelką

cenę przedstawić je Wierze. Powinna wiedzieć, że można myśleć w ten sposób, że nie jest jeszcze za późno, by tak myśleć.

Wróciła wieczorem, z tym samym segregatorem pod pachą. „Leningrad, Archangielsk...”, powtarzałem z gorczycą. A przecież pomimo tego złudnego wyjazdu wrzenie wolności związane z jej pojawieniem się na wielkim wietrze wciąż trwało. Nawet jeszcze silniejsze. I tym gwałtowniejsze stawało się moje oburzenie wobec owego kultu wiecznej miłości, w ramach którego czczono ją jak boginię. Kobieta o zaróżowionej od wiatru twarzy szła zamaszystym krokiem w blasku zachodzącego słońca. Należało wymazać całą resztę, młodzieńcze przysięgi, ikonostasy zmatowiały od niegdysiejszego heroizmu, liściowe spojrzenia prostaczków. Trzymać się wyłącznie tej wolnej, cielesnej istoty. Patrzyłem, jak się oddala, i przypomniałem sobie ciało kobiety wyciągającej sieci na gliniasty brzeg jeziora, a także to samo ciało – nagie, nocą, przed drzwiami do maleńkiej chatynki-łaźni... Czułem, że odzyskanie przez Wierę wolności powinien rozpocząć bunt tego ciała ściśniętego w długim wojskowym płaszczu.

Jeszcze tego samego wieczoru poszedłem się z nią zobaczyć, bez zaproszenia, pukając po prostu do jej drzwi, pod pretekstem, że zabrakło mi chleba. Kilkakrotnie zachodziłem już do jej chaty, zawsze jednak następowało to wskutek spotkania na ulicy i paru wymienionych słów. To najście nie zdziwiło jej zresztą, była przyzwyczajona do życia

we wspólnocie i niezapowiedzianych wizyt staruszek, którymi się opiekowała.

Weszliśmy do głównej izby i podczas gdy ona wyjmowała okrągły bochenek i odkrawała dla mnie solidną ćwiartkę, ja usadowiłem się pospiesznie w miejscu, które stanowiło sekretny cel moich odwiedzin. Za starym stołem z grubych, spękanych desek stała ława, jej kraniec, bliżej drzwi, zajmowała zazwyczaj Wiera, ilekroć przyjmowała gości. Rozmawiała, podawała do stołu, podchodziła do pieca, ale zawsze wracała na posterunek przy drzwiach. Wystarczyło najbliższe skrzygnięcie schodków przed wejściem, a już drętwiała mimowolnie, gotowa poderwać się i biec na spotkanie tego, który nie mógł zjawić się wcześniej, lecz dopiero w tej właśnie chwili. A za oknem widziała rozstaje dróg, skraj lasu, który trzeba okrążyć, przybywając do Mirmoje...

Ulokowałem się zatem na tym końcu ławy, opierając ciężko łokcie na stole. Wiera zawięła moją ćwiartkę bochenka w kawałek płótna, po czym zaproponowała mi herbatę i konfiturę z jarzębiny. Oddalała się i wracała, a ja czułem wyraźnie, że znajoma przestrzeń izby wymyka się jej. W oczach Wiery dostrzegałem przebliski niepokoju, w ruchach jej ciała pewne niezdecydowanie, popłoch lunatyczki, którą zmuszono do zboczenia z trasy. Nalała nam herbaty, a następnie, po chwili wahania, usiadła na krześle naprzeciwko mnie, niemal natychmiast poderwała się jednak i podeszła do okna. Odniosłem wrażenie, jakby – choć nie przyznawaliśmy się do tego – wywiązała się między nami jakaś gra, przyjemnie okrutna...

Mniej lub bardziej szczerze wierzyłem jeszcze, że to dla jej dobra.

Zachodziłem do niej trzy wieczory z rzędu, za każdym razem bez uprzedzenia, i zawsze samowolnie sadowiłem się na skraju ławy, koło drzwi. Jej ciało wyrwanej z transu lunatyczki zdawało się coraz lepiej znosić moją natarczywość. W tej naszej konfrontacji pomimo dystansu czuło się napięcie cielesnego zespolenia.

Czy też raczej cielesnej napaści, gdyż moja obecność deformowała wnętrze tej izby przygotowanej na powrót innego. Nieskazitelna czystość podłogi; kilka reprodukcji na ścianach oraz (widziałem w tym jakże prowincjonalną i wzruszającą pretensjonalność) te dzieła, których z całą pewnością nigdy nie czytała. Grube księgi ustawione na półkach, wybrane „dla stworzenia intelektualnej atmosfery”: *Ogólna teoria lingwistyki*, *Słownik etymologiczny* w czterech tomach, *Dzieła zebrane Humboldta*... Były to najwyraźniej pozostałości jakiejś opuszczonej biblioteki, które Wiera przywłaszczyła sobie, nie bacząc, że nie mogą jej się przecież przydać w skromnej pracy nauczycielki... Sadowiłem się zatem na zaanektowanym siedzisku i z ciekawością rozglądałem po tym gniazdku wymoszczonym dla innego: porządek, wygoda, książkowy wystrój.

Ostatniego z tych wieczorów gry przerwałem na chwilę moje eksperymenty psychologiczne i wyrząłem przez okno. I zdało mi się, że poprzez mglistą bladość dostrzegam potężną sylwetkę mężczyzny zbliżającego się do skrzyżowania dróg. Wędrowiec zwalnający kroku... Nie,

to nic, drzewo, rysa na szybie. Ale widziana z tego krańca ławy zjawą wcale nie wydawała się niemożliwa, podsycana aż do halucynacji przez lata czekania, przez niezliczoną ilość (kręciło mi się w głowie na samą myśl) spojrzeń, które – dzień po dniu – przywoływały ludzką postać wyłaniającą się zza lasu...

Wracając do domu, postanowiłem nazajutrz rano opuścić Mirnoje.

Zamiast wyjechać, następnego ranka wybrałem się z Wierą na wyspę.

2

Musiała popłynąć na wyspę, żeby złożyć na grobie Anny wieniec z suchych kwiatów. Wyblakły krążek, najeżony łodyżkami i kłosami, który jedna ze starowinek z Mirnoje plotła przez kilka tygodni.

Dla mnie ta przeprawa przez jezioro w deszczu doskonale odzwierciedlała absurd egzystencji, jaką wiodła Wiera. Absurdalne było również moje pragnienie, dla mnie samego nieoczekiwane, by jej towarzyszyć: właśnie pakowałem bagaże, gdy zobaczyłem Wierę na ulicy, zawołałem ją przez okno i zapytałem, nie wiedzieć czemu, czy mogę płynąć z nią. I, szczyt głupoty, wiedziony śmieszną męską zuchowatością, uparłem się wiosłować sam, na stojąco, niczym gondolier z operetki. Wiera usiłowała protestować (wiatr, kapryśny ciężar starej krypy), w końcu jednak ustąpiła.

Wiatr był zmienny, dziób łodzi tańczył to na prawo, to na lewo, następnie zanurzał się, nie do oderwania od kleistej gęstości wody, w której wiosło grzęzło niby w mokrej wacie. Żeby nie stracić twarzy, symulowałem lekkość, skrywałem wysiłek, choć wkrótce ramiona miałem zdre-

wiałe, ucisk w skroniach, oczy zalane potem. Widok kobiety siedzącej naprzeciwko mnie z brzydkim wiankiem z suchych kwiatów na kolanach był nie do zniesienia. Ostentacyjnie zrezygnowana, obojętna wobec deszczu, wiatru, zmarnowanego życia, dnia straconego na wyprawę wymuszoną przez żalobne zachcianki jakiejś na wpół zbzikowanej staruchy. Patrzyłem na tę pochyloną głowę, tę twarz pogrążoną w rojeniach, spłowiałych zapewne, po trzydziestu latach codziennego odtwarzania, a może za tym pozorem rozmarzenia kryła się pustka, szara i jednostajna jak ta woda, te brzegi mającące niewyraźnie w powietrzu ciężkim od kropel. „Kobieta, z której uczyniono chodzący pomnik pamięci poległych. Narzeczona złożona w ofierze na stosie wierności. Wiejska Andromacha...”. Te porównania przybierały na zajądłości, w miarę jak mój wysiłek stawał się coraz bardziej mozolny. W pewnym momencie odniosłem wrażenie, że łódź przestała się posuwać, blokowana lepkiem ciężarem fal. Wiera uniosła nieco twarz, uśmiechnęła się do mnie, zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. „Wioskowa idiotka! Otóż to. Drewniana idolka, którą ci prostaczkowie przybili u wejścia do swego obozowiska dla odwrócenia gromów losu. Ofiara błagalna złożona Historii. Ikona, w której cieniu ci dzielni kołchoźnicy mogli grzeszyć, oddawać się rozpuście, donosić jeden na drugiego, kraść, upijać się...”.

Wyczerpany walką z wiatrem poruszałem już teraz wiosłem właściwie machinalnie, na odczepnego. Przesadzisty zarys kościoła na wzniesieniu wyspy wydawał się wciąż tak samo daleki. „A jednak musieli puścić tę

biedną Wierę, żeby mogła zrobić dyplom nauczycielki w jakiejś pobliskiej osadzie. Bez wątpienia była to jedyna wielka podróż w jej życiu. Wyjście na świat. A potem, hop, z powrotem na przysługujące jej miejsce, ów posterek na ławie przy drzwiach, z wiecznie nastawionym uchem: czyżby to odgłos żołnierskich butów? Wianuszek uschłych kwiatków na grobie Anny, tak, bardzo ładnie, moja miła, ale kto będzie składał kwiaty na twoim grobie? Starowinki dawno już pomrą, nie trafi się druga taka Wiera, która się tobą zaopiekuje...”.

Zorientowałem się, że łatwiej mi się manewrowało, gdy dostosowywałem wysiłek do rytmu fal. Łódź wciąż poruszała się opornie, ale zamiast przeciwdziałać temu ciężkiemu kołysaniu, należało w odpowiednim momencie szybko – jak z bicza trzasnął – machnąć wiosłem... Wiera siedziała nieruchoma i jeszcze bardziej zdystansowana, jakby uznawszy, że opanowałem technikę, mogła wrócić do swoich marzeń. Osłaniała dłońmi kwiaty wianka. „Ale przecież deszcz i tak je zmoczy na grobie...”, miałem ochotę powiedzieć; to jednak wyrwałoby ją ze snu.

A niby dlaczego nie miałbym jej obudzić? Przestać wiosłować, przykucnąć przed nią, ścisnąć jej rękę, potrząsnąć nimi albo raczej pocałować te skostniałe dłonie. „Ona śpi swego rodzaju przedwczesnym snem wiecznym, zawieszona w czasie, który sama zatrzymała jako szesnastolatka, poruszając się jak lunatyczka wśród tych staruch, przypominających jej wojnę i rozstanie z ukochanym żołnierzem... Ona żyje życiem po życiu, zmarli muszą widzieć to, co ona...”.

Delikatnie uderzyliśmy o brzeg wyspy. Wyskoczyłem na ląd, wyciągnąłem dziób łodzi na piasek, pomogłem Wierze wysiąść. Myśl, że ta kobieta przeżywała to, czego nam dane jest zaznać dopiero po śmierci, nadała nagle jej życiu, które uważałem dotąd za tak absurdalne, pewien niejasny sens. Sens wyczuwalny na każdym kroku, w każdym geście.

– Przykro mi – zwróciła się do mnie Wiera, gdy zśliśmy pod górę w stronę cmentarza – że musiał pan harować jak galernik. Oczywiście mogłabym go gdzieś schować albo wyrzucić – potrząsnęła ostrożnie wiankiem – a Zina o niczym by się nie dowiedziała. Ale, widzi pan, te staruszki żyją już trochę poza życiem i mam wrażenie, że to ja w pewnym sensie przeprowadzam je przez granicę, a tu proszę, one wręczają mi ten wianek. Może ostatecznie to nie jest takie głupie... – Rzuciła mi przeciągłe spojrzenie, a jej szare oczy odbijające deszcz wydawały się jeszcze większe i sprawiały wrażenie, jakby odczytały to, co właśnie o niej myślałem. Poczułem bardzo cieleśnie, że jestem obecny w tym życiu po życiu, w które ona się zanurzała...

Kwiaty wianka, złożonego na grobie, błyskawicznie pokryły się kroplami deszczu, a mokre zdawały się ożywać, niczym krucha i błyszcząca kalkomania.

– Następnym razem przywiezę krzyż – powiedziała Wiera bardzo cicho, jakby sama do siebie.

– Będę mógł przyplnąć z panią? – zapytałem i pomyślałem o deszczowym dniu, o sennym kołysaniu łodzi, o tej dłoni, która poprawiała wianek na grobie, a którą znów ujrzę opartą o burtę łodzi, jakby zapomnianą.

Zaczęliśmy schodzić w dół ku brzegowi. Długi wojskowy płaszcz Wiery był zupełnie przemoczony, prawie czarny. Z daleka, na tym stoku pokrytym zbrązowiałą, zgniecioną trawą, można by ją wziąć za pielęgniarkę, podczas wojny, zmierzającą na pole pełne rannych i zabitych. W oczach innych... W tej chwili ja widziałem jedynie kobietę kroczącą u mojego boku, z twarzą zalaną deszczem, dotkliwie żywą w tym ponurym jesiennym dniu, starającą się nie stąpać na ostatnie kępki kwiatów, kobietę, która schodząc na brzeg, schyliła się, podniosła coś z piasku i podała mi ze słowami: „Zgubił go pan ostatnim razem”. To był ołówek, którym zapisywałem w notesie takie sformułowania, jak: „zwęglona *sati* na stosie samotności” czy „życie zniszczone przez dziecinne przyrzeczenie...”.

W łodzi ujęła jedno wiosło, zostawiając mi drugie. Deszcz padał teraz bardziej jednostajnie, łagodząc podmuchy wiatru. Nie było widać ani chat Mirnoje, ani nawet wierzb na przeciwległym brzegu. Nasze ruchy szybko przybrały wspólny rytm. Każde z nas czuło wysiłek drugiego w odpowiedzi na swój własny, zharmonizowany co do najmniejszego naprężenia mięśni. Dotykaliśmy się ramionami, ale prawdziwa bliskość tkwiła w tym powolnym miarowym ruchu, w trosce, z jaką czekaliśmy na siebie nawzajem, aby znów zjednoczyć siły po zbyt głębokim uderzeniu wiosła albo z kolei po poślizgnięciu się pióra na grzbiecie fali.

Na środku jeziora brzegi całkiem zniknęły w strugach deszczu. Żadnej linii, żadnego punktu odniesienia poza zarysem łodzi. Szarość powietrza grawerowana kroplami, fale, uspokojone, które sprawiały wrażenie, jakby nad-

chodziły znikąd. I nasza żmudna przeprawa zdawała się teraz całkiem pozbawiona celu. Po prostu tam byliśmy, obok siebie, w sennym szemraniu deszczu, w zmierzchu chłodnym niczym rybie łuski, a ilekroć obracałem nieco głowę, widziałem ociekającą wodą twarz kobiety: uśmiechała się tajemniczo, szczęśliwa, można by powiedzieć, z powodu tych łez, którymi niebo nieustannie zraszało jej policzki...

Rozumiałem teraz, że tak właśnie wyglądało to jej życie po życiu. Powolna podróż, bez widocznego celu, lecz obdarzona prostym i głębokim sensem.

Łódź na oślep przybiła do brzegu, w tym samym miejscu, z którego wyruszyliśmy.

3

Z ulicy dostrzegłem dziecięcą rączkę, która przyłgnęła do zaparowanej szyby, przetarła ją z góry na dół i za umytych w ten sposób oknem ukazała się główka o krótko ostrzyżonych włosach i blada, okrągła buzia o nieco melancholijnych rysach, które wydały mi się znajome. Podeszedłem do budynku, by przeczytać napis na tabliczce nad drzwiami: „Szkoła podstawowa”. W tej szkole uczyła Wiera...

Dotarłem tu przypadkiem, po długim błędzeniu w poszukiwaniu drewnianego kościółka, którego nie zdołaliśmy swego czasu odnaleźć z Otarem. Kościółek znajdował się u wejścia do wioski Nachod, może dziesięć kilometrów od Mimoje, po drugiej stronie jeziora. Jeszcze tliło się tu życie: ze trzydzieści domów, garaż dla traktorów (budynek z dachem krytym zardzewiałą blachą falistą) i ta szkoła z jedną jedyną klasą.

Ukradkiem zajrzałem przez okno, które przetarła przed chwilą dłoń chłopczyka. Stare pulpity z grubych desek, ze staroświeckimi otworami na kałamarz, portrety pisarzy

(czupryna Puszkina, broda Tołstoja...), przesywający wzrok Lenina nad tablicą. Gromadka chłopców i dziewcząt trzaskała blatami pulpitów, zajmowała miejsca w ławkach. Najwyraźniej właśnie skończyła się przerwa. Wiera wstała ze swego krzesła z zeszytem w dłoni.

Zapukałem ostrożnie, niczym spóźniony uczeń, niepewny, czy zostanie wpuszczony. Zaskoczenie Wiery przypominało nieco niepokój, którego nie była w stanie ukryć, ilekroć zachodziłem do jej chaty i sadowiłem się na skraju ławy, naprzeciw okna, zajmując jej posterunek... Tym razem jednak ów niepokój podszyty był wyraźnym rozbawieniem i ironią, skoro szepnęła, wskazując mi wolne miejsce: „Witajcie, towarzyszu inspektorze...”. Usiadłem z tyłu klasy, „ośła ławka”, myślałem, odgadując te same skojarzenia w oczach Wiery.

Płaszczki dzieci wisiały na ścianie koło dużego ceglano-piecznego pieca o splekanym tynku. Czarna rura komina oddzielała romantycznie krótkowzroczną twarz Czechowa od prometejskiej miny młodego Gorkiego. Na górnej półce regału z książkami królował globus pokryty kurzem i otoczony drucianą obręczą: orbita Księżyca, posrebrzanej kulki, która dawno oderwana od swej trajektorii spoczywała na stercie starych map. Znad nasączonych wodą ubrań unosiła się lekka mgiełka pary i osiadała na szybach. Wyobrażałem sobie rozmiękłe od deszczu drogi, przysypane rdzawymi liśćmi, przez które brnęły dzieci, żeby tutaj dotrzeć z rozproszonych wśród lasów wiosek. Pobielające szyby przywodziły na myśl zimę, esy-floresy szronu, które już wkrótce je ozdobią. „Będę wtedy daleko”,

mówiłem sobie i świadomość, że opuszczę te północne obszary, że nie zobaczę już tej kobiety, chodzącej teraz między ławkami, wydała mi się nagle przedziwna...

Uczniów było raptem ośmioro. Obserwując ich zajęcia, oceniałem pospiesznie różnice wieku: trzech chłopców i dziewczynka obliczali prędkość dwóch statków ścigających się na kanale Wołga–Don. A zatem dziesięć–dwanaście lat. Troje młodszych uczniów czytało kolejno swoje wypracowania poświęcone spacerowi po lesie. Ostatni chłopczyk, siedzący naprzeciwko biurka Wiery, uczył się pisać.

Z początku przysłuchiwałem się z uwagą zadaniu ze statkami, stwierdziłem, że nie potrafię go rozwiązać, zapomniawszy wszystkie te arytmetyczne sztuczki. Śmieszna i namacalna oznaka mijającego czasu... Następnie skoncentrowałem się na trzech relacjach z leśnych przechadzek. Pierwsza wyrażała klasyczny strach przed wilkiem. Druga wyjaśniała z poetycką, acz ryzykowną nieścisłością, w jaki sposób odróżnić grzyby jadalne od ich trujących sobowtórów... W kilku miłych słowach Wiera pochwaliła, bez schlebiana, te niewprawne próby opisu.

Trzecia z leśnych opowieści była najkrótsza. Nie znalazły się w niej ani „piękny dywan ze złotych liści”, ani „ślady wielkich łap wilka”, ani „borowik szatyn” (zamiast „szatan”)... Ostatnie wypracowanie czytał chłopczyk, którego spostrzegłem przed lekcją za przetartą dłonią szybą. Jego buzia wciąż miała ten rozmarzony wyraz, jeden rękaw starego sweterka był zupełnie postrzępiony na łokciu, kontrastując z drugim – zdumiewająco staran-

nie załatanym. Zamiast opisywać, głos chłopca stwierdzał, nie bez pewnej buty, jakby malec chciał dać do zrozumienia: „Mogę wam opowiedzieć tylko to, co sam widziałem i przeżyłem”.

Poprzedniego dnia w drodze do szkoły, relacjonował chłopiec, chciał ominąć drogę, którą deszcze przemieniły w strumień, zagłębił się w las i wszedł na nieznaną mu wcześniej polanę. I tam, deptając opadłe liście, przeszkodził śpiącemu motylowi, który wleciał w zimne powietrze. I gdzie on teraz znajdzie schronienie podczas zimowych śnieżyc?

Pytanie to zostało zadane tonem niepewnym i ostrym zarazem, jakby ten zarzut skierowany był do nas wszystkich. Chłopczyk usiadł, ze wzrokiem zwróconym w stronę okna, które przetaił dłonią, a które znów było zaparowane. Pozostali uczniowie, nawet ci, co dowodzili ścigającymi się statkami, unieśli głowy. Na chwilę zapadła cisza. Widziałem, że Wiera szuka słów, zanim wreszcie przemówiła:

– Wiosną, Lioszka, wrócisz na tę polanę i znów zobaczysz swojego motyla. Zresztą pójdziemy tam wszyscy razem... Brawo, wspaniałe opowiadanie!

Uczeń wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „To nie jest żadne opowiadanie, ja to widziałem”.

I wtedy właśnie go rozpoznałem. To był jeden z synów mężczyzny, który się powiesił na początku września, przywiązując sznur do drzwi remizy, pijaka, którego satyryczny portret zamierzałem zawrzeć w mojej powieści. Przypomniałem sobie gromadkę jego dzieci, ich osłupiałe spojrzenia, bez łez, i paniczną ucieczkę tego chłopca

przez puste pole... A teraz opowiadał o tym wyrwanym ze snu pod uschniętym liściem motyłu, pozbawionym schronienia na zimę.

Wiera spojrzała na zegarek i ogłosiła przerwę. Uczniowie spieszenie wybiegli na dwór. Najmłodszy chłopczyk, ten, który uczył się pisać, wyjął z tornistra kromkę chleba z masłem. Alosza zdjął sweterek i bez słowa zaniósł go Wierze. Pod spodem miał ogromną męską koszulę, zwężoną po bokach i ze skróconymi rękawami. Chłopiec został w klasie, opierając się plecami o ciepły kamień pieca. Wiera przysunęła swoje krzesło do okna, wydobyla kawałek materiału, szpulkę nici, igłę. Gdy ona cerowała w milczeniu, ja przepatrywałem książki na półkach: głównie podręczniki, fragmenty wybranych dzieł klasycznych autorów oraz pozycja, której obecność tutaj bardzo mnie rozbaawiła – *Typologia języków skandynawskich*. „Jeszcze jedno zbędne znalezisko wyłowione przez nią ze zbiorów zrujnowanej biblioteki”, myślałem, wychodząc na zewnątrz. Pod okapem wznosił się stos drewna, zapasy na zimę. Chwyciłem siekierę i zacząłem rąbać duże kloce, a następnie układać polana, wydzielające cierpką woń mgły. I znów myśl, że te drwa będą płonąć w wielkim szkolnym piecu, podczas gdy ja dawno już stąd wyjadę, sama wizja tego ognia, którego już nie zobaczę, wydała mi się dziwaczna.

Wróciliśmy razem, piechotą, powoli okrążając jezioro. Droga, z początku mi nieznana, wkrótce zbiegła się z tą, którą zawsze podążałem: od starej przystani, przez rozstaje, obok słupa ze skrzynką na listy, ku wierzbinnie,

gdzie zaskoczyłem kobietę wyciągającą z wody sieć rybacką... Pośrodku jeziora, w powietrzu nasyconym mżawką rysowały się wyraźne kontury kościoła na ochrowym wzniesieniu wyspy.

– Nie ma co robić sobie złudzeń – oświadczyła Wiera, kiedy wspomniałem o jej uczniach. – Tutaj jedyną perspektywą jest wyjazd. My nie żyjemy już nawet w czasie przeszłym, ale zaprzeszłym. Dzieci przeniosą się gdzie indziej, do miast, gdzie szczytem marzeń będzie plac budowy w błocie po uszy, noclegownia dla młodych robotników, alkohol, przemoc. Ale, widzi pan, czasem sobie mówię, że coś im jednak zostanie z tych lasów. I z naszych lekcji. Motyl obudzony tuż przed nadejściem zimy. Skoro taki Alosza raz o tym pomyślał, na zawsze zachowa jakiś tego ślad. Mimo śmierci ojca pijaka, mimo miejskiego plugastwa, w jakim już wkrótce się pogrzeży. Mimo wszystko. Jasne, że to mało. A jednak jestem pewna, że to może ocalić. Czasem wystarczy tak niewiele, by nie upaść na samo dno.

Gdy przechodziliśmy obok miejsca jej połowów, wzdłuż brzegu porośłego nagimi wierzbami, poczułem, że wspomnienie naszego pierwszego spotkania wciąż w niej tkwi, gdyż pospiesznie przerwała milczenie i zaczęła mówić, jakby w zmieszaniu, odwracając wzrok i wskazując mi wyspę:

– Jeden ze szlaków wikingów wiodący na południe biegł właśnie tędy, widzieli dokładnie tę samą wyspę. Tyle że bez kościoła i cmentarza. W swoim języku mówili *holm*, wyspa. Podczas gdy po rosyjsku *holm* oznacza wzgórze. Pytanie do specjalisty: skąd takie przesunięcie znaczenia?

Zaskoczony wyjąkałem:

– Och, niewątpliwie jakaś perwersja etymologiczna... Albo też, skoro Rosjanie pili więcej niż Skandynawowie... chociaż Finowie, jak się zdaje, biją nas na głowę w tej dziedzinie. Chwileczkę... Czyli wyspa wikingów u nas przemienia się we wzgórze... No cóż, poddaję się. A zatem ten *holm* Waregów?

– Po pierwsze nie chodziło o Finów, tylko o Szwedów i Norwegów. Otóż przybywając tutaj w ramach swych łupieżczych wypraw, potrzebowali wysokiego poziomu wody dla tych ciężkich drakkarów. Toteż woleli zapuszczać się w te strony wiosną, podczas wielkich roztopów i przyboru wód, dzięki czemu mieli w swym zasięgu nawet wioski zazwyczaj oddalone od brzegów. Widzieli wyspę, wrzeszczeli: *Holm!*, tubylcy zapamiętywali słowo i stosowali je do tego, czym ta „wyspa” stawała się, kiedy wody opadały: zwykłym wzgórzem pośród osuszonych łąk... Proszę mi wybaczyć mentorski ton. Kiedy byłam młoda i naiwna, po dyplomie wymyśliłam sobie, że napiszę pracę na temat wszystkich tych powikłań etymologicznych. Na szczęście nie doprowadziłam sprawy do końca...

– Pracę? Chce pani powiedzieć doktorat? – Moje zdumienie było tak wielkie, że zwoleńem kroku, nieomal przystając. Ta nikomu nieznaną nauczycielką, ta Wiera zapomniana przez Boga i ludzi w tej zapadłej dziurze... Doktorat z lingwistyki! To zakrawało na żart. – I gdzie pani go robiła? – spytałem ze źle skrywanym niedowierzaniem i swego rodzaju rozdrażnieniem w głosie: z mo-

im dyplomem uniwersyteckim uważałem się za istne wcielenie nauk na tym północnym pustkowiu. I – co nie sprawiło mi przyjemności – spostrzegłem, że zostałem urażony w miłości własnej, utraciwszy palmę intelektualnego pierwszeństwa.

– W Leningradzie na uniwersytecie moim promotorem był Iwanicki. Pan go z pewnością nie znał, zmarł pod koniec lat sześćdziesiątych. Bardzo miał mi za złe, że wycofałam się tuż przed obroną...

Słuchałem jej, nie mogąc się pozbyć swoistych zaburzeń widzenia: pustelnica, niepokieszona narzeczona-wdowa, eremitka oddana kultowi zmarłych i ta młoda doktorantka w Leningradzie lat sześćdziesiątych z ich poststalinowskim wrzieniem. Pospiesznie dodałem pięć lat studiów magisterskich i trzy lata doktoratu, czyli co najmniej osiem długich lat spędzonych z dala od lasów Mirnoje. Toż to całe życie! A zatem myliłem się całkowicie co do sensu tego, czym ona żyła...

Machinalnie szedłem za nią, w ogóle nie zauważwszy, że dotarliśmy do wioski, minąłem chatę, w której mieszkałem, i wstąpiłem do Wiery, jakby to było naturalne, jakbyśmy byli parą.

Wchodząc do głównej izby, ocknąłem się, rozglądałem się po tym wnętrzu; ujawniało teraz zupełnie inny styl życia: książki z dziedziny lingwistyki, a zatem lektura całkiem dla niej zwyczajna, zawieszona na ścianach reprodukcje, których tematy należało traktować metaforycznie, jak choćby ten pejzaż, zatytułowany: „Ławica lodowa. Rodzina niedźwiedzi polarnych”. Porządek wynikający

raczej z dyscypliny intelektualnej niż z dziwactw starej panny. I to miejsce na skraju ławy, ten posterunek z łatwością zdołała opuścić, by udać się do Leningradu czy gdziekolwiek indziej. Inna kobieta...

Odezwałem się, wciąż na stojąco, nie mogąc się odnaleźć w tym odmienionym nagle miejscu:

– Ale dlaczego pani wróciła?

Napięcie, z jakim się do niej zwracałem, zdradzało prawdziwe pytanie: „Dlaczego po tylu latach spędzonych w Leningradzie zaszywać się tutaj, wśród niedźwiedzi i pijaków?”.

Musiała odgadnąć, co miałem na myśli, a jednak odpowiedziała bez śladu namaszczenia, nie przerywając parzenia herbaty:

– Przez wszystkie te lata w Leningradzie towarzyszyło mi dziwne uczucie. Byłam tam, całkiem nawet zadowolona z tego, czym się zajmowałam, uczestniczyłam w tym ich życiu (widzi pan, „ich” życiu – uśmiechnęła się), a przy tym trwałam w jakimś rozdwojeniu, jakbym poprzez ten uniwersytecki epizod musiała wykazać, że moje miejsce jest gdzie indziej. Ponadto dla mnie w tych latach odwilży było coś sztucznego, jakaś hipokryzja. Stalin został okryty hańbą, a tymczasem Lenina wielbiono bardziej niż kiedykolwiek. Był to zabieg dość zrozumiały, po upadku kultu ludzie chwytają się ostatnich idoli, jacy im zostali. Pamiętam poetów, bardzo modnych, którzy występowali na stadionach przed kilkudziesięciotysięcznym tłumem. Jeden z nich deklamował: „Usuńcie portret Lenina z naszych banknotów. Gdyż jego wartość jest nie-

zmierzona!". To było porywające, nowe, oszłamiające. I fałszywe. Gdyż większość osób przyklaskujących tym strofom dobrze wiedziała, że pierwsze obozy koncentracyjne powstały z rozkazu Lenina. Tych drutów kolczastych było sporo zresztą i w naszych stronach, wokół Mirnoje. Ale poeci woleli kłamać. To dlatego wciąż cieszą się szczytami i daczami na Krymie...

Nalała nam herbaty, wskazała mi krzesło, a sama usiadła na skraju ławy... Słuchałem jej z dziwnym wrażeniem, że ten opis dotyczy nie demokratycznych nadziei lat sześćdziesiątych, lecz kolejnej dekady, owych lat siedemdziesiątych naszej kontestacyjnej młodości: wiersze, zgromadzenia, alkohol i wolność.

Bez wątpienia te słowa o przywilejach poetów wydały jej się nazbyt mocne, gdyż uśmiechnęła się i dodała:

– Właściwie to sama jestem sobie winna, że nie potrafiłam się odnaleźć w tamtej epoce. Dyskutowałam, czytałam dysydentów przepisywanych przez kalkę, prowadziłam badania nad typologią dawnego szwedzkiego i rosyjskiego. Ale nie żyłam... – Umilkła, wpatrzona w szarość znieczchu za oknem. Zdało mi się, że dostrzegam w jej oczach odbicie pól porośłych wyschlą trawą, skrzyżowanie dróg, ciemną bryłę lasu. – Zresztą wszystko potoczyło się jeszcze prościej. Przyjechałam do Mirnoje, żeby... pochować matkę. Zamierzałam zostać dziewięć dni, jak, zdaje się, nakazuje tradycja, następnie czterdzieści. I tak po nitce do kłębka... Przede wszystkim niektóre tutejsze staruszki były już w niewiele lepszej formie niż moja matka, która właśnie zmarła. Nie, nie czułam żadnego żalu ani wewnętrznego

rozdarcia. Zrozumiałam, że moje miejsce jest tutaj, to wszystko. A właściwie nawet o tym nie myślałam. Znow zaczęłam żyć.

Wstała, żeby z powrotem postawić czajnik na ogniu. Odwróciłem głowę, rzuciłem pospieszne spojrzenie za okno: z wyolbrzymioną wyrazistością sennego widziadła z lasu wyłonił się cień piechura.

Wiera wróciła, podała kanapki, na nowo napełniła filiżanki. To, co teraz mówiła, przypominało właściwie głos wewnętrzny, dawne argumenty, dla niej w pełni przekonujące, które przytaczała tylko dlatego, że akurat tam byłem.

– Zrozumiałam także, że wszystkie nasze leningradzkie debaty, antysowieckie czy prosowieckie, tutaj, w Mirnoje, były zupełnie pozbawione sensu. Kiedy tu przyjechałam, zastałam kilka bardzo starych kobiet, które straciły swoich bliskich na wojnie i wkrótce same miały umrzeć. Po prostu. Istoty ludzkie, które szykowały się na śmierć w samotności, bez narzekania, bez szukania winnych. Zanim je poznałam, nigdy tak naprawdę, w głęboki sposób, nie myślałam o Bogu...

Urwała, widząc, że błędę wzrokiem po półkach z książkami (w rzeczywistości nagle było mi trudno wytrzymać jej spojrzenie). Uśmiechnęła się, wskazując ruchem brody rzędy tomów.

– Tak czy owak, byłam już za stara na uniwersytet. Wyglądałam jak krzepka kołchoźnica wśród tych młodziutkich studentek w minispódniczkach...

Dzień zgasł, Wiera sięgnęła do wyłącznika, ale rozmyśliła się i zapaliła zapałkę. Płomień świecy postawionej

na parapecie okna migotał, pogrążając w ciemności pola i drogi za szybą. Usiadła na swoim zwykłym miejscu, wsłuchiwalismy się w ciszę, której wiatr nadawał szarpawy rytm, i nagle dobiegło nas lekkie skrzypnięcie, westchnienie starej belki, znużony jęk futryny.

Spojrzenie nadal miała spokojne, jedynie rzęsy zatrzępotwały gwałtownie. Szepnęła, jakby mnie już tam nie było:

– Zresztą, jak mogłabym wyjechać, skoro wciąż na niego czekam?

4

Podczas tej piętnastokilometrowej wyprawy w mroźny i świetlisty październikowy dzień wreszcie naprawdę miałem pewność, że dzielę z Wierą jej życie. Ponownie przebyliśmy trasę, którą zwykle chodziła do szkoły. Wierzbina przy brzegu, rozstaje ze skrzynką na listy, stara przystań... Tu droga skręcała na północ, w głąb lasu.

Przed kilkoma dniami jeden z uczniów powiedział jej o wiosce zagubionej gdzieś w gęstwinie, gdzie pozostała jedna jedyna mieszkanka, głucha i prawie ślepa staruszka, zdaniem chłopca, który zresztą niewiele zdołał się o niej dowiedzieć poza jej imieniem. Wiera udała się do przewodniczącego sąsiedniego kołchozu w nadziei, że uzyska ciężarówkę. Odpowiedziano jej, że na te zarośnięte krzakami drogi przydałby się raczej czołg... Tak więc w tę sobotę zapukała do moich drzwi i wyruszyliśmy, ciągnąc za sobą komiczny pojazd na wykoślawionych kółkach od roweru: wózek jednego z żołnierzy z Mirnoje, który wrócił z frontu bez nogi i umarł niedługo po zakończeniu wojny.

Mróz ułatwił nam zadanie, gdyż błoto zamarzło na kamień i można było iść nawet przez torfowiska. Zatrzymaliśmy się co pewien czas, żeby odsapnąć, a przy okazji zerwać garść żurawin, niczym maleńkie kulki sorbetu, które rozpuszczały się powoli pod językiem, kwaśne i lodowate.

Bodaj po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy, nasze gesty, słowa i nasze milczenie wydawały się tak naturalne. Miałem wrażenie, że nie muszę się już niczego domyślać, niczego próbować zrozumieć. Życie Wiery było dla mnie przejrzyste jak te niebieskie witraże osadzone między czarnymi wierzchołkami świerków.

„Samozaparcie, altruizm...”. Podświadomie szukałem w myślach wyrażenia na określenie charakteru tej kobiety. Wszystkie jednak okazywały się chybione wobec prostoty, zupełnie pozbawionej wyrachowania, z jaką Wiera postępowała. Doszedłem do wniosku, że dobro (Dobro!) to sprawa złożona i sprzyjająca grandilokwencji, jeśli robić z niego problem moralny, temat do roztrząsania. A staje się skromne i jasne, gdy tylko uczynić rzeczywisty krok w jego kierunku: jak ta przeprawa przez las, ten wysiłek prozaicznie mięśniowy, który rozpraszał budujące mrzonki czystego sumienia. Zresztą to, co innym wydawać się mogło aktem dobroci, dla Wiery było jedynie bardzo starym przyzwyczajeniem.

– Byłoby świetnie, gdyby w drodze powrotnej udało się zebrać trochę grzybów – powiedziała podczas jednego z postojów. – Przyrządziłabym je jutro dla tej staruszki...

Wioska, otoczona lasem, panoszącym się coraz ciśnie-
niej, ukazała się naszym oczom zniecka i sprawiała
wrażenie niezamieszkaney. Drzewa rosły pośrodku ulicy,
niektóre dachy zapadły się, odsłaniając pod wiązkami
strzechy kruchy szkielet belek. Dwanaście domostw, do
których po kolei zagłądaliśmy, wypatrując wiarygodnych
śladów ludzkiej obecności. Postrzępiona bielizna wiszą-
ca na podwórzu? Weszliśmy do środka: spróchniała pod-
łoga ustąpiła z łatwością pod naszymi stopami... Nie,
to raczej będzie tamta chata. Przy drewnianych schod-
kach zardzewiały rower, postawiony do góry nogami, na
siodelku i kierownicy, zdawał się czekać na naprawę
przez właściciela, który lada chwila pojawi się w progu
z narzędziami w dłoni. Dom był pusty, w oknach o po-
wybijanych szybach suche gałązki drżały od podmuchów
wiatru...

Niewiele brakowało, a wcale byśmy nie pchnęli drzwi
tej chaty. Belki dachu mierzyły w niebo, niczym połama-
ne żebra padliny. Okna straciły obramienia z rzeźbione-
go drewna. Schodki wejściowe ginęły w gęstych zaroś-
lach. Już mieliśmy iść dalej... I nagle ten głos. Dochodził
z niziutkiej ławki biegnącej wzdłuż ściany domu i za-
słoniętej przez krzaki. Siedziała na niej staruszcza
o przymkniętych powiekach, ze zwiniętym w kłębek ko-
tem na kolanach, do którego kierowała kojącą litanie
czułych słówek. Zobaczyła nas, wstała, ułożyła kota na
ławce i przemówiła bardzo głośno, ze zdumiewającą siłą
jak na tak wątłe ciało, zapraszając do środka. Tam cze-
kała nas główna niespodzianka.

Przez na wpół zawalony dach widać było niebo, a wystawiona na pastwę wiatrów przestrzeń została urządzona w zupełnie niewyobrażalny sposób: pośrodku izby zbudowano drugi dom, znacznie mniejszy, maleńką chatkę skleconą z desek pochodzących z szopy albo ogrodzenia. Prawdziwy dach, wąskie i niskie drzwi, zdobyte zapewne w jakiejś stodole, okno. Ruina otaczająca chatkę należała już do świata zewnętrznego, z jego zmianami pogody, z jego dzikimi nocami. Do królestwa natury. Podczas gdy nowa budowla odtwarzała utraconą wygodę, w skondensowanej postaci. Zgięci wpół wcisnęliśmy się do środka, by odkryć tam ubóstwo prymitywnego gospodarstwa i zdumiewający porządek. Swego rodzaju życiowe minimum, powiedziałem sobie w duchu, ostatnia granica oddzielająca ludzką egzystencję od kosmosu. Maleńkie łóżko, stolik, taboret, dwa talerze, filiżanka, a pod ścianą, otoczony kilkoma pożółkłymi listami, czarny prostokąt ikony.

Sprytne było dostawienie drewnianej konstrukcji do wielkiego murowanego pieca, który zajmował połowę zrujnowanej chałupy. Starowinka oprowadzała nas po tym domku dla lalki, tłumacząc, że zimą wychodzi do głównej izby przysypanej śniegiem, rozpala w piecu i znów chowa się w swojej chatynce... Wbrew temu, co nam o niej mówiono, nie była głucha, słuch miała jedynie trochę przytępiony, natomiast rzeczywiście traciła wzrok, pole widzenia zawężało jej się tak samo, jak kurczył się obszar jej wszechświata, ograniczając się do coraz to mniejszego klocka-schronienia.

W pewnym momencie Wiera dała mi dyskretnie do zrozumienia, że chce zostać ze staruszką sama.

Poszedłem aż nad staw, pośrodku którego rysował się niewyraźnie kształt zatopionej łodzi. W sąsiedniej chacie trafiałem na stertę podręczników szkolnych i zeszyt wypełniony ćwiczeniami z gramatyki. Uderzyło mnie zwłaszcza jedno zdanie, przepisane dla utrwalenia jakiejś zasady składni: „Obrońcy Leningradu usłuchali rozkazu Stalina, by stawiać opór do ostatniej kropli krwi”. Nie, nie tyle reguła składni, ile zasada oboczności samogłoskowej. Potrzebowałem tych nieistotnych ironicznych myśli, żeby móc znieść ciężar czasu, który stał w miejscu, rozlany w gęstą kałużę absurdu, w każdym z tych domostw, na opustoszałej ulicy.

„Wkrótce i Mirmoje tak właśnie będzie wyglądać – pomyślałem, wracając do chaty ostatniej pozostałej przy życiu staruszki – tak, ta sama ludzka pustynia, jeszcze bardziej bezwzględna niż reguły gramatyki”.

Obie kobiety wyszły już na zewnątrz i krzątały się wokół wózka osadzonego na kołach od roweru. Łatwo mogłem wyobrazić sobie przebieg ich tajnych pertraktacji. Najpierw odmowa wyjazdu przez staruszkę, odmowa czy to pro forma, jednak była jej niezbędna, żeby uzasadnić długie lata samotności, żeby nie przyznać się do poczucia opuszczenia. Następnie argumentacja Wiery, która ważyła każde słowo, żeby nie odbierać eremitce resztek dumy, dumy z gotowości do samotnej śmierci... I tak od słowa do słowa stopniowe zbliżenie między nimi, zbieżność ich kobiecych losów, wzajemne zrozumienie i wreszcie wy-

znania, a zwłaszcza to: otóż właśnie lęk przed śmiercią w samotności.

Podszedłem do nich, zaproponowałem pomoc. I spostrzegłem, że obie mają lekko zaczerwienione oczy. Pomyślałem o ironii, z jaką czytałem przed chwilą zdanie o Stalinie nakazującym obronę Leningradu. Ten sarkastyczny ton, typowy dla naszego środowiska intelektualistów kontestatorów. Humor zapewniał nam prawdziwy komfort psychiczny, gdyż stawiał nas ponad wszelkimi sporami. Teraz, spoglądając na te dwie kobiety, które właśnie uroniły kilka łez przy podjęciu dramatycznej decyzji, poczułem, że nasza ironia mierzyła w coś, co ją przekraczało. „Sentymentalizm wieśniaczy, szydziłibyśmy w Wigwamie, *Nędznicy* w wersji radzieckiej...”. Te drwiny trafiałyby w próżnię, teraz to wiedziałem. Istotę rzeczy stanowiły ręce kobiece ładujące na mały wózek całość materialnej egzystencji ludzkiej istoty.

Całość! Ta myśl mnie poraziła. Wszystko, czego ta staruszka potrzebowała, zmieściło się tutaj, na trzech krótkich deskach naszego wózka. Weszła do chaty i wróciła z ikoną owiniętą w kawałek płótna.

– Jekatierina Iwanowna wybierze się z nami – oznajmiła Wiera, jakby chodziło o krótki pobyt czy spacer. – Tyle że odmawia skorzystania z naszej taksówki, woli iść. No cóż, zobaczymy...

Odciągnęła mnie kawałek naprzód, żeby staruszka mogła pożegnać się z domem. Jekatierina podeszła do schodków, przeżegnała się, skłoniła nisko, znów się przeżegnała, dołączyła do nas. Jej kot podążył za nią w pewnej odległości.

U wejścia do lasu myślałem o pierwszej nocy, jaką ta wioska spędzi teraz już bez żywej duszy. Chatka wewnątrz chaty, ławka, na której Jekatierina wypatrywała latem ukochanej gwiazdy, ów uczniowski zeszyt do gramatyki z epoki stalinowskiej. „Na pewnym etapie wyczerpania, dumalem, życie przestaje dotyczyć rzeczy. Być może to właśnie w tym momencie, tylko w tym momencie, konieczność wyrażenia życia w książce staje się bezwzględna...”.

Około drugiej po południu ścieżki zaczęły rozmarzać. Miejscami musiałem nieść Jekatierinę, przeskakując błotniste rozpadliny. Ciało staruszki miało niematerialną lekkość charakterystyczną dla starych ubrań.

Wieczorem przeprowadzka nowej mieszkanki Mirnoje była zakończona. Nad chatą, którą wybrała dla niej Wiera, unosił się sinawy obłoczek dymu, zapach brzoźowych drew, płonących w piecu. Wierzchołek dachu, czarne blanki lasu rysowały się na fiolecie nieba z wyrazistością i precyzją słupka rtęci, po czym – zmacone przezroczyстым kłębem dymu – zaczynały delikatnie falować. Podobnie jak owa gwiazda, na północy, która także stawiała się migotliwa i jakby bliższa.

Spostrzegłem Wierę przechodzącą powoli przez ulicę, z ramionami obciążonymi wiadrami z wodą. Przystanęła na chwilę, stawiając swe brzemię na ziemi, i trwała tak bez ruchu, ze wzrokiem utkwionym w jasną jeszcze tafłę jeziora.

Dobroć, altruizm, empatia... Wszystko to wydawało mi się teraz nazbyt wydumane, nazbyt książkowe. Ten

dzień nie miał na celu nic innego, jak tylko piękno tego obłoku dymu, pachnącego paloną korą brzozy, jak tylko żywe falowanie gwiazdy i milczenie tej kobiety na środku drogi, jej sylwetkę wyrzeźbioną w opalu jeziora.

„Na pewnym etapie wyczerpania, przypomniałem sobie, rzeczywistość przestaje dotyczyć rzeczy i staje się słowem. Na pewnym etapie cierpienia ból pozwala nam dostrzegać w pełni bezpośrednio piękno każdej chwili...”.

Panowała taka cisza, że z oddali usłyszałem lekkie westchnienie. Wiera ponownie dźwignęła wiadra i skierowała się ku chacie Jekatieriny. Przyszło mi do głowy, że staruszka musi odbierać to, co jej się teraz przydarza – tę woń drzewnego dymu, to jezioro za oknem swego nowego domu – niczym początek życia po życiu, skoro tak dawno pogodziła się z myślą o śmierci w samotności, skoro dla innych już właściwie umarła.

W Leningradzie, w Wigwamie, jakże często oddzielaliśmy dobro od zła tego świata. Miałem świadomość, że zło, które spustoszyło te północne wioski, było niezmiernie. A przecież nigdy jeszcze świat nie wydawał mi się równie piękny jak tego wieczoru, widziany oczami starej zmęczonej kobiety. Piękny i godny tego, by chronić go słowem przed naszą niszczycielską działalnością.

Spędziłem wiele dni w poważnym i pogodnym przekonaniu, że zgłębiłem tajemnicę życia Wiery.

A potem, tydzień po naszej wyprawie, w sobotni wieczór, zobaczyłem, jak zmierza ku rozstajom dróg, gdzie

pod koniec dnia łapało się okazję do stolicy powiatu. Nie miała na sobie starego kawaleryjskiego płaszczyska, lecz eleganckie beżowe palto, w którym widziałem ją po raz pierwszy. Włosy zebrała wysoko nad karkiem w gruby kok. Szła szybkim krokiem i wyglądała – w jakże banalny i jakże niewiarygodny dla mnie sposób – jak kobieta, która spieszy na spotkanie z mężczyzną.

5

Podczas gdy ubierałem się gorączkowo, wybiegałem na ulicę i przedzierając się przez gęstwinę leśnego poszycia, pędziłem na rozstaje, w uszach rozbrzmiewało mi echo drwiących słów Otara: „Ty jesteś artysta, trzeba ci piękna i czułości...”.

Nic tak nie rani jak odkrycie miłosnej pospolitości u kobiety, którą się idealizowałem. Życie, które wymyśliłem dla Wiery, okazało się romantycznym urojeniem. Prawda tkwiła w ciele tej kobiety, kobiety, która – co bardzo dobre dla zdrowia – raz w tygodniu (albo i częściej?) sypiała z mężczyzną, swoim kochankiem (człowiekiem żonatym?, wdowcem?), po czym wracała do Mirnoje i jak gdyby nigdy nic dalej pełniła swe posłannictwo przy staruszkach...

Biegłem, potykając się o ukryte pod liśćmi korzenie, aż wreszcie przystanąłem, bez tchu, z dłonią wspartą o pień drzewa. Mój oddech parujący w mroźnym powietrzu przydawał jeszcze w moim odczuciu fizycznej prawdziwości tym wymagowanym igraszkom. Dom, otwierająca się furtka, pocałunek, ciepło izby, obfity wiejski obiad, alkohol,

wysokie podwójne łoże pod starym zegarem, kobiece ciało o rozchylnych szeroko udach, jęki rozkoszy... Porażająca i zupełnie naturalna oczywistość ich miłosnego zespolenia, całkowicie, po ludzku, zrozumiałego. I zarazem absolutna niepojętość, gdyż jeszcze wczoraj na tych rozstajach można było wyobrazić sobie widmową sylwetkę żołnierza wracającego po latach do domu.

Dotarłem na skrzyżowanie w momencie, gdy w mroku nikły właśnie tylne światła odjeżdżającej ciężarówki. Kobieta, którą ścigałem, musiała się nią zabrać. Wsiądzie, zapuka do drzwi, padnie w objęcia mężczyzny, który jej otworzy, a potem będzie obiad, wysokie podwójne łoże i ciało oddające się z kobietą wprawą, dojrzałe i hojne...

Ta miłość zatem, od dawna zakorzeniona w codzienności, zawsze doskonale współgrała z resztą: opieką nad umierającymi staruszkami, nocnym pięknem jeziora...

A nawet z czekaniem na żołnierza! Bo ona przecież doskonale wiedziała, że on nigdy nie wróci. Pociecha, jaką niosła samotnym starowinkom, jej własna samotność, świetlistość tych jesiennych chwil, które przeżyliśmy razem na wyspie i... ta rozkosz w czeluściach wielkiego łoża – jedynie w moich rojeniach podobny melanz wydawał się niemożliwy. Ale życie, to dobroduszne i niedbające o elegancję życie, czymże jest innym, jeśli nie bezustannym mieszaniem gatunków?

Następna ciężarówka mogła tędy przejeżdżać równie dobrze za pięć minut, co za pięć godzin. Najprawdopodobniej będę musiał zawrócić z drogi, a zresztą, myślałem

w nikłym przebłysku zdrowego rozsądku, jakże miałbym ją odnaleźć w mieście? A przede wszystkim po co miałbym to robić? W mojej głowie rozegrała się taka oto groteskowa scena: stoję przed wielkimi drewnianymi drzwiami i bronię przejścia kobiecie, która przybyła tu kochać się z mężczyzną, odpycham ją i przypominam z oburzeniem o możliwym powrocie żołnierza...

Z tych jałowych rozważań wyrwał mnie strumień światła. Motor zatrzymał się przy mnie i rozpoznałem zastępcę kierownika Domu Kultury. Ów motor stanowił istotną część roli, w jaką się wcielał: ciemny brunet, twardy, lecz romantyczny, nierozumiany przez swoją epokę. Jego potężna maszyna potrzebowałaby dobrych asfaltowych dróg, żeby kreacja stała się w pełni wiarygodna, my natomiast zaczęliśmy telepać się rozpaczliwie, skacząc na wybojach, raz po raz unosząc nogi, żeby je chronić przed bryzgami błota. Za jednym z zakrętów rozbłysły czerwone reflektory, zastępca kierownika zaklął, byliśmy zmuszeni kilometrami wlec się w smrodzie i hałasie ciężarówki.

Poprosiłem, żeby mnie wysadził przy wjeździe do miasta, w miejscu, gdzie zatrzymała się również ciężarówka. Zanim ruszył w dalszą drogę, motocyklista zawołał jeszcze, przekrzykując warkot silnika: „Wpadnij do mnie wieczorem! Świątujemy wyjazd Otara...”. I wyminął ciężarówkę, ostro dodając gazu. Wiera oddalała się już uliczką oświetloną jedynie bladym neonem umieszczonym na fasadzie sklepu.

W ciemności bez trudu mogłem ją śledzić. Skręciła w szerszą ulicę („aleja Marksa”, spostrzegłem odruchowo),

przecięła plac, jakby zwolniła nieco przed wystawą jedy-
nego „dużego sklepu” w mieście, znów przyspieszyła kro-
ku. Minutę później znaleźliśmy się – rozdzieleni przez
niecierpliwą i wyraźnie podniecony tłum – na peronie
dworca. Oczekiwany był moskiewski pociąg, najważniej-
sze wydarzenie dnia w mieście.

Wiera trzymała się z tyłu, koło stosu starych podkładów
kolejowych na skraju peronu. Od czasu do czasu, przega-
niana przez ludzi, którzy ustawiali się obok, odsuwała się
ukradkiem i musiała wtedy wmieszać się w tłum, prze-
mknąć się tak, by jej nie rozpoznano, do nowej kryjówki.
W tym odświętnie ubranym zbiorowisku oboje byliśmy
jednocześnie myśliwym i zwierzyną, gdyż skoro tylko ona
podchodziła bliżej, ja natychmiast się wycofywałem, go-
tów rzucić do ucieczki, i oddalałem się pospiesznie ni-
czym spłoszony złodziej. A nawet jeśli na kilka sekund
traciłem ją z oczu, miałem wrażenie, że czuję jej obecność
niczym gorące pulsowanie żyły za tymi wszystkimi płasz-
czami lśnącymi od zamarznętej mżawki.

Kiedy w oddali reflektor lokomotywy przebił się przez
mgłę, tłum zakipiał, zbliżając się do torów, i przerażony
sposzrzegłem, że Wiera stoi dwa kroki ode mnie, ze wzro-
kiem wpatrzonym w sznur wagonów. Odsunąłem się,
przesadzając pierwsze wystawione z pociągu walizki, ogłu-
szony hałaśliwymi powitaniem, potrącany przez ściskają-
ce się rodziny. Kiedy się odwróciłem, nie dostrzegłem jej
nigdzie. Peron powoli pustoszał, zostali jedynie ci, któ-
rych wystawiono do wiatru, oraz najzuchwalsi palacze,
którzy zamierzali wskoczyć na schodek już po gwizdku.

Wiera zniknęła. „Mężczyzna o lekko draśniętym podbródku podczas golenia w rozkołysanym wagonie, silna woda kolońska, obiad, podczas którego będzie ją raczył ostatnimi nowinkami ze stolicy, wysokie łoże, ich sen...”.

Opuściłem dworzec, mówiąc sobie, że taki sen w męskich ramionach to było dla Wiery wyjście najbardziej naturalne, a może i najbardziej godne; życie, jakie w Mirnoje uniemożliwiały jej spojrzenia innych, życie banalne, owszem, ale przecież takie, na jakie naprawdę zasłużyła. Jeszcze trochę, a prawie udałooby mi się to sobie wmówić. Nagle jednak zrozumiałem, że gardzę w najwyższym stopniu i tym życiem, i tą kobietą.

U zastępcy kierownika zabawa szła w najlepsze. Świecek nierównomiernie oświetlały wielki pokój siny od dymu papierosowego. Słysząc było podniesione głosy, męskie śmiechy, piskliwe okrzyki kobiet, po których łatwo było ustalić stopień ich nietrzeźwości. Usiadłem obok jednej z zaproszonych pań i pod jej uderzeniowym makijażem odkryłem rysy nauczycielki historii. Nalało mi wina (gruzińskiego, spostrzegłem, a zatem Otar musiał opróżnić wszystkie swoje zapasy), ktoś wznosił wrzaskliwy toast powitalny, wychyliłem kieliszek pośpiesznie, żądny dogonić ich w tej hałaśliwej błogości. Chórem recytowano już kolejny toast dla uczczenia odzyskanej wolności Otara.

Sam nie wiem, kiedy nasza burzliwa i chaotyczna rozmowa zahaczyła o Mirnoje. Czyżbym sam to sprowokował? Mało prawdopodobne. W mym alkoholowym

rozkojarzeniu zorientowałem się, że mowa o Wierze, dopiero kiedy nauczycielka historii wykrzyknęła:

– Tak, eremitka, zakonnica. Dobrze sobie! Toż ona się puszcza na prawo i lewo. Jak to „z kim”? No przecież, że z naczelnikiem stacji. Zresztą muszę wam powiedzieć...

– Tu inne głosy i inne świadectwa zagłuszyły jej rewelację.

Ból związany z tym, co właśnie usłyszałem, otrzeźwił mnie w jednej chwili. Spostrzegłem, że siedzę na ziemi, na skołtunionej baranicy, obejmując ramieniem kobietę, która nie przestaje się wydzierać, prawą dłonią ugniatam jej pierś, obcisły sweter ma wilgotny pod pachą.

W istocie życie sprowadzało się do tej cielesnej wilgoci, do pożądania mężczyzn i kobiet, którzy się obmacują, oddają sobie i rozstają. Cała reszta to urojenia poetów. Zdejmując spódnicę, nauczycielka historii schyliła się i – układając usta jak do karykaturalnego pocałunku – zdmuchnęła świeczkę. W półmroku inne ciała zacieśniały więzy ramion, szyi i nóg. Dobiegł mnie smutny śmiech Otara. Nauczycielka rysunku tłumaczyła ze złością, że aby porządnie zaznajomić dzieci z malarstwem, trzeba by zacząć od *Czarnego kwadratu* Malewicza. Tego wieczoru nie znalazła faceta, z którym mogłaby się kochać. Ktoś zażartował z elektryfikacji całej Rosji, zrozumiałem, że świeczki nie miały na celu stworzenia nastroju, lecz zostały wymuszone przerwą w dostawie prądu. Nikłe światło wystarczyło mi jednakże, by dojrzeć wzór nadrukowany na bieliźnie, której właśnie pozbywała się moja partnerka: coś zielonego i kwiecistego. I jak zawsze w przypadku tych pospiesznych zmysłowych ze-

społeń, na wpeł jedynie upragnionych przez biorących w nich udział, pojawił się gwałtowny przebłysk litości dla tego obcego ciała, jakże wzruszającego w swym zapale naśladowania miłości. I zaraz przyszła obojętność, a potem głupia ochota, by zmiażdżyć te piersi, nagie i ciepłe...

Krzyk, który się nagle rozległ, był niewspółmierny do faktycznej katastrofy, z czego szybko zdaliśmy sobie sprawę. Jedna ze świeczek spadła z parapetu, potoczyła się pod zasłonę, buchnął widowiskowy ogień. Ta pierwsza wizja pożaru, wzmocniona paniką, wywołała histeryczny wrzask: „Pali się!”. Wzajemnie sprzeczne polecenia, przetasowania na wpeł rozebranych ciał, dym. Ale już zasłona-winowajczyni leżała na ziemi deptana wściekle przez wiele par nóg. I wreszcie westchnienia ulgi, minuta bezruchu po gorączkowej szamotaninie i osłupieniu: włączyli prąd!

Staliśmy, mrużąc oczy, przyglądając się sobie nawzajem na tym polu miłosnej walki, nad którą fruwały kłaczki sadzy. Rozmazany makijaż, blade męskie piersi, a to jeszcze nic!

Naraz wybuchnęliśmy śmiechem, który wzmagał się, aż osiągnął ów szczytowy moment, kiedy to śmiech przypomina płacz: nauczycielka historii, bibliotekarka i pielęgniarka nosiły identyczną bieliznę, jedyny model, jaki można było dostać w jedynym dużym sklepie w mieście, prezentowany na jedynym kobiecym manekinie na wystawie. Najgłośniej śmiała się nauczycielka rysunku, wciąż w ubraniu, gdyż bez partnera; mściła się w ten sposób za tę jałową noc. A przywrócony do życia magnetofon zawodził schrypniętym, przymilnym głosem: ... *when the birdlings wake and cry, I love you...*

Śmiech długo nie ustawał, podsycany coraz bardziej wymuszonymi parsknięciami. Usiłowaliśmy odwlec koniec tej wesołości, wiedząc, że zbliża się smutek poranka. Przebudzenie w zimnym domu, w pokoju cuchnącym konserwami rybnymi, nieświeżymi ciałami i cierpkością zażeganego pożaru. Wkrótce wstanie dzień, trzeba będzie się rozejść. Nagle ktoś zauważył nieobecność Otara, co uratowało sytuację. Posypały się żarty na temat seksualnego apetytu Gruzinów. To dopiero prawdziwi mężczyźni, nie przerywają spółkowania nawet w płonącym domu! Odkorkowano butelkę, zgaszono światło, kręciliśmy się niepewnie w nadziei, że noc i zakłócone porywy namiętności mogą jeszcze odżyć.

Wychodząc, dostrzegłem Otara. Wbrew naszym docinkom siedział przed domem, na poręczy schodków i palił. Szerokie rondo miękkiego kapelusza ociekało deszczem.

– To co, idziemy? – zagadnął mnie, zupełnie jakbyśmy się umawiali na wspólny powrót. – Tyle że nie mam już ciężarówki. Musiałem ją oddać. – Uśmiechnął się zjadliwie i dodał: – W zamian za odzyskaną wolność.

W tym momencie drzwi się otworzyły i gospodarz domu wręczył mi długą pelerynę z namiotowego brezentu i dwie butelki wódki. Wciąż cieszyłem się pewnymi przywilejami ze względu na mój status leningradzkiego intelektualisty.

Za dwie godziny Otar miał złapać pociąg do Moskwy, ten sam, na który czekałem poprzedniego dnia. Odprowadził mnie do rogatek miasta, na drogę, gdzie wczesnym rankiem można było się zabrać jednym z wielkich

traktorów rozwożących korę jodłową. Gdy usłyszeliśmy warkot silnika, wyjął pospiesznie z torby kopertę z wytłaczanego papieru, wetknął mi ją do ręki i wymamrotał, jednocześnie zmieszany i władczy: .

– Zostawisz ją w skrzynce na listy, wiesz której, na rozstajach. To dla niej...

Po czym klepnął mnie solidnie w ramię, podrapał mi policzek swoim zarostem i ustawił się na środku drogi, żeby zatrzymać traktor.

Gawędząc z kierowcą w zadymionej kabinie, od czasu do czasu przez brezent peleryny dotykałem chropowatej koperty.

Prostokąt wpadł do skrzynki na listy z dźwięcznym i głuchym odgłosem. Tyle nadziei związanych z kawałkiem blachy! A zresztą te nadzieje... Przywołałem w pamięci wodę kolońską mężczyzny, który wczoraj wysiadł z moskiewskiego pociągu, obiad, wielkie łoże, kobietę wydającą jęki rozkoszy. A zatem Otar był równie łatwowierny jak ja. „Artysta, któremu trzeba piękna i czułości...”.

Deszcz ustał, opuściłem na plecy kaptur peleryny, odechnąłem z poczuciem, jakbym wyszedł z zamknięcia na świeże powietrze. Ranek przypominał raczej schyłek dnia, ponury i mroźny, gliniasta droga zryta gąsienicami przywodziła na myśl wojenny szlak. Okrążyłem skraj lasu, wychodząc na drogę prowadzącą do Mirnoje. Wkrótce wioska wyłoniła się z wilgotnej szarości i wydała mi się bardziej opustoszała niż wymarłe osady, które odwiedzałem od dwóch miesięcy podczas swoich wędrówek.

A najbardziej wyludniona była ta chata z ładnymi koronkowymi firankami w oknach. Kobieta, która tu mieszkała, spała zapewne w tej właśnie chwili w ramionach mężczyzny, gdzieś w mieście. Wielkie łoże rozgrzane przez ich ocieęzałe po miłości ciała, męska woda kolońska zmieszana ze słodko-gorzka nutą „Czerwonej Moskwy”...

Drzwi otworzyły się w momencie, kiedy od schodków dzieliło mnie może dwadzieścia kroków. Ledwie ujrzałem sylwetkę Wiery, ona wycofała się pospiesznie i zniknęła. Puste wiadro upadło na schodki i potoczyło się na ziemię z żelaznym łaskotem. Podeszedłem bliżej, drzwi były z powrotem zamknięte i dom znów sprawiał wrażenie opuszczonego. Wahałem się, czy zapukać, podniosłem wiadro i odstawiłem je na podest przed wejściem. Po kilku sekundach dreptania pod oknami ruszyłem w dalszą drogę, nie bardzo rozumiejąc, co tu się właściwie stało.

W mojej zamroczonej alkoholem i niepotrzebną gadaniną tej bezsennej nocy głowie dokonał się rachunek: skoro Wiera tak wcześnie rano była już u siebie, nie mogła spędzić nocy z kochankiem, chyba żeby wracała po ciemku drogami trudno przejezdnymi nawet za dnia. Albo też była to przelotna schadzka, takie markowanie miłości, jak to, którego nie dokończyłem z nauczycielką historii. „Życie to nic innego jak tylko ciepła wilgoć kobiecej pachy...”, przypominałem sobie ze wstrętem. I nagle radość, spontaniczna, gwałtowna, nazbyt gwałtowna wobec prostego stwierdzenia, które ją wywołało: kobieta, która właśnie upuściła wiadro, z nikim się nie spotkała i – tak jak zawsze – wróciła do domu sama.

Rozejrzałem się wokół. Zimna cynowa toń jeziora, ciemne bale fasady gmachu dawnej siedziby władz... I to przepołowione lustro, zapomniane przy spróchniałych schodach. Przystanąłem, rzuciłem okiem na jego matową, naznaczoną kroplami deszczu powierzchnię. I jak Wiera, odruchowo się cofnąłem...

Żołnierz odziany w długą pelerynę, czarną od deszczu, w ciężkich od błota dróg buciorach, wbił we mnie spokojne poważne spojrzenie.

III

1

Mówiła z miną skupioną i nieobecną zarazem. Pod stołem, który, spodziewając się wizyty Wiery, nakryłem serwetą, widziałem jej nieobute stopy. Czerwone czółenka, modne zapewne jakieś piętnaście lat temu, leżały na boku, niczym kobiece pantofelki rzucone niebale u stóp miłosnego łoża. Pantofle chyba teraz już dla niej za ciasne. Obcasy miały oblepione ziemią, tą gliniastą masą pokrywającą owe sto metrów dzielące nasze chaty. Mówiła, wpatrując się uporczywie w odbłask płomienia na kieliszku. Świecek, czuły charkot jazzowego śpiewaka... Usiłowałem stworzyć nastrojową atmosferę.

– Czemu miałabym kłamać? Czasami się boję, tak, naprawdę się boję, że on wróci... Teraz życie jest już poza mną... Ale nawet przedtem obawiałam się tego powrotu... Wczoraj, kiedy pana ujrzałam w tej wojskowej pelerynie, omal nie umarłam ze strachu. Pierwsze słowa, pierwsze gesty... Ćwiczyłam je dla niego od trzydziestu lat, a tu nagle zupełnie nie wiedziałam, co robić.

Pozwalałem jej mówić niczym zahipnotyzowanej, której wyznań człowiek stara się nie przerywać. Mojej ciekawości towarzyszył przemożny przedsmak prawdy. Jeszcze bardziej niż słowa ostateczną prawdę życia Wiery zdradzała niefrasobliwa swoboda jej ciała. Kobieta taka jak ona, owa niewzruszona bogini, nieugięta wobec czasu, obojętna wobec losu, mogła zatem również być taka: rozbrojona dwoma kieliszkami słodkiego wina, z policzkami zaczerwienionymi jak u nastolatki, oddająca się zwierzeniom, ubarwionym sentymentalizmem starej panny z prowincji, odczuwająca wyraźną przyjemność z tej „świątowej” kolacji „przy świecach”, w akompaniamencie tych tęsknych, przeciągłych fraz *when the dawn flames in the sky, I love you...*

Tak, życie, prawdziwe życie, ów bezustanny melanż gatunków.

Dumny z tej nowej dla mnie mądrości, odgrywałem magnetyzera, dolewając wina, zmieniając kasety, zadając pytania głosem ledwie słyszalnym, żeby śpiąca nie oprzytomniała.

– Niedawno widziałem panią wychodzącą wieczorem, dokąd się pani wybrała?

– Wczoraj, nie, to było przedwczoraj, pojechałam na dworzec... Czekałam na pociąg z Moskwy... To mi się zdarza od czasu do czasu. Zawsze to samo marzenie: wieczór, peron, on wysiada, zmierza w moją stronę... Tym razem to było bodaj jeszcze bardziej rzeczywiste niż przedtem. Byłam pewna, że przyjedzie. Pojechałam, czekałam. To wszystko jest irracjonalne, wiem. Ale gdybym

nie pojechała, więc zostałaaby przerwana... I nie byłoby już sensu dłużej czekać...

Zamrugła powoli powiekami, uniosła ku mnie spojrzenie, dalekie i zamglone, niewidzące mnie, gdyż zmącone cieniami przeszłości. Czułem, że w tym momencie jej zaślepienia mogę sobie pozwolić na wszystko. Mogłem ująć ją za rękę, już dotykałem tej dłoni, wodziłem delikatnie palcami po przedramieniu. Siedzieliśmy obok siebie i poczucie, że mam nad tą kobietą władzę, przepełniało mnie ogromną siłą i czułością. Niemalże wyszeptalem:

– A kiedy zorientowała się pani, że nikogo nie ma, od razu pani wróciła? – Zdawało mi się, że wypracowałem rytm i ton, dzięki którym nie ryzykowałem wyrwania jej z tego snu na jawie. Delikatnie obejmowałem jej ramiona, gest ów, gdyby nagle doszła do siebie, można by jeszcze uznać za przyjacielską poufałość, związaną z miłym wieczorem i winem.

– Tak, wróciłam... Ale być może po raz pierwszy w życiu miałam ochotę... zapomnieć się, zapomnieć o wszystkim, odurzyć się jak dziewczyna. Po prostu żyć lekko-myślnie, beztrosko... Jak teraz, przy tej głupawej muzyce, przy tym winie...

Ramię Wiery opierało się lekko o moją pierś, a kiedy mówiła, brzmienie jej głosu odbijało się we mnie fizyczną wibracją. Nic już nie dzieliło naszych ciał, jedynie jej bluzka z białego jedwabiu, o niewinnym, niemodnym kroju i te cienie wycofujące się z wolna z jej spojrzenia. Moja ręka niepostrzeżenie ześlizgnęła się z ramienia

Wiery ku talii. Jej włosy pachniały brzoźowymi liśćmi namoczonymi w ciepłej wodzie...

Przez kilka sekund udało nam się – w milczącym porozumieniu – ignorować ten dźwięk. Uważać go za uporczywe uderzanie o szybę gałęzi jarzębiny, targanej podmuchami od Morza Białego. Ale tej nocy nie było wiatru. Odsunęliśmy się od siebie, popatrzyliśmy w stronę okna. Z zewnątrz obserwowało nas pół twarzy, zabarwionej na żółto światłem świec. Drobną, zaciśniętą mocno pięść postukiwała o szybę. W przelotnym spojrzeniu, jakie wymieniliśmy, można było wyczuć nasz popłoch, a zwłaszcza niedorzeczność tego lęku, tej obawy przed zjawą. Wiera poprawiła bluzkę, ja poszedłem otworzyć, podczas gdy ona szukała pod stołem pantofli. W progu stała Maria, zgięta wpół staruszczyca, mieszkająca w chacie obok łaźni.

– Jekatierina bardzo źle się czuje, trzeba by do niej zajść...

Powiedziała to, omijając mnie wzrokiem, jakby w pomieszczeniu znajdowała się wyłącznie Wiera. Wieśniacza subtelność, pomyślałem, wycofując się pod ścianę. Wiera wyszła w towarzystwie staruszki, już na dworze zarzucając płaszcz, jak czynią to wiejscy lekarze obudzeni w środku nocy. Sprzątając pozostałości naszej kolacji, powtarzałem sobie z prześmiewczą urazą, że owa interwencja losu (nie, Losu!) będzie zapewne tej zimy interpretowana i komentowana na tysiąc sposobów podczas długich nocnych monologów wewnętrznych Wiery. I ogarnęła mnie nieodparta ochota, by sprowokować ów osławiony los, oskubać tego anioła stróża objawionego nam pod postacią zasuszonej staruszki.

2

Uczyliem to nazajutrz, ponownie zapraszając Wierę do siebie, żeby jej pokazać, w sposób bardziej żartobliwy, że z łatwością możemy odwrócić wyroki przeznaczenia i że czas nie ma w sobie nic nieodwołalnego. Czułem się tym bardziej uprawniony do podobnych działań, że w południe widziałem, jak miejscowy lekarz wychodzi z domu Jekatieriny. Z westchnieniem udręki zwrócił się do Wierę, która szła za nim: „Wie pani, w jej wieku...”. Ton jego głosu dawał raczej do zrozumienia: „Przygarnia pani wszystkie te stojące nad grobem babiny, a potem ja muszę obijać sobie tyłek przez czterdzieści kilometrów wertepów...”. Przypomniałem sobie, że pop, który odwiedził Annę na łożu śmierci, miał dokładnie taką samą kwaśną minę.

Przez chwilę się bałem, że Wiera odmówi. Ale zgodziła się bez żadnych ceregieli i przyszła z butelką wina i talerzem solonych grzybów:

– Pamięta pan, zebraliśmy je podczas wyprawy po Jekatierinę.

Co dziwne, ta bezpośredniość mnie speszyła. Wszystko zaczęło się toczyć tak jak poprzednio, tyle że tym razem wiedziałem, że ta kobieta o dorodnym, dojrzałym ciele w każdej chwili może się znaleźć w moich ramionach, naga. Nie, samo ciało nie miało tu większego znaczenia. Naga kobieta w moich ramionach to będzie ta, która od trzydziestu lat... To się zdawało zupełnie nieopięte. Moje gesty stały się nienaturalne, śmiałem się na cały głos, czując równocześnie własne ściągnięte rysy... Raz zachowywałem się śmiesznie poufale i drwiąco, to znów zamykałem się w sobie, nieledwie oniemiały.

Od pewnego momentu to ona prowadziła rozmowę, podawała do stołu, przemieniała moje niezdarne awanse w drobne; nic nieznaczące gafy. Przy deserze, po jednej z takich niezręczności, którą żartobliwie ukróciła (moja dłoń na jej przedramieniu natychmiast wydała się bardziej nie na miejscu, niż gdyby był to młotek pośród naszych filizanek), zaczęła mówić o Aleksandrze Kołłątaj.

– Każde pokolenie ma własny styl flirtowania. W latach sześćdziesiątych, kiedy byłem w Leningradzie, mężczyźni, którzy uderzali do kobiety i chcieli jak najszybciej posunąć sprawę dalej, mieli na ustach jedno: „teorię szklanki wody” Kołłątaj. W rewolucyjnej gorączce piękna Aleksandra, wielka przyjaciółka Lenina, ukuła takie oto prawidło: zaspokojenie cielesnego popędu jest równie proste jak wypicie szklanki wody. To się wydawało tak istotne, że w pierwszych latach po tysiąc dziewięćset siedemnaście roku całkiem poważnie planowano wybudować na moskiewskich ulicach specjalne kabiny, w któ-

rych obywatele mogliby dawać upust swym fizycznym żądom. Najlepszy flirt to brak wszelkiego flirtu. Bezpośrednie przejście do samego aktu. Ludzie spotykają się na ulicy, znajdują najbliższą kabinę, wypijają swoją „szklankę wody” i się rozstają. Wielki kamień do ogródka mieszczańskich konwenansów. Lenin pospiesznie potępił tę teorię jako owoc wypaczonego lewactwa. Przytaczając zresztą zdroworozsądkowy argument, na który młodzi powinni nastawić ucha: „Nawet jeśli jesteście bardzo spragnieni, wywodził, nie będziecie przecież pić z podejrzanej kałuży ...”. Trochę rozeznania, ot, co! A zatem kiedy w latach sześćdziesiątych jakiś młodzieniec proponował mi wspólne wypicie szklanki wody otoczonej nimbem autorytetu moralnego Aleksandry, miałam gotową odpowiedź, jak najbardziej leninowską: popatrz dobrze, kochanieńki, czy taka stara kobieta jak ja nie przypomina ci czasem kałuży dawno ustanej wody. I było to całkiem skuteczne...

Wiera wstała, ponownie zaparzyła herbatę, przełożyła na drugą stronę kasetę, która właśnie się zatrzymała. Siedziałem sztywno, nie wiedząc, co powiedzieć, wszystkie przemowy, jakie sobie przygotowałem, diabli wzięli; myślałem o pokoleniu lat siedemdziesiątych, o naszym stylu flirtowania. Był znacznie mniej wyrazisty od tej rewolucyjnej szklanki wody. Chrapliwy jazz, świece, butelka importowanego trunku i – dla zwieńczenia – amerykański dziennikarz niczym namacalny dowód naszego kontestacyjnego zaangażowania. Co do reszty, nic się nie zmieniło. Ciała dążące do zaspokojenia swego popędu, i tyle. Wiera chciała mi to dać do zrozumienia, mówiąc o Aleksandrze.

– A co się z nią stało potem?

Naprawdę byłem ciekaw, nawet jeśli wyglądało na to, że tym pytaniem usiłuję jedynie zamaskować zakłopotanie.

Wiera zastanawiała się przez chwilę, zupełnie jakby przypominała sobie zdarzenie z własnego życia. Usiadła i wydawała się mniej czujna niż z początku, nieco senna, urzeczona – jak poprzednio – odbiciem świecy w kieliszku.

– Potem... Potem wyszła za mąż. To było tak zwane otwarte małżeństwo, z mężczyzną o piętnaście lat od niej młodszym, dziarskim czerwonym komisarzem, Kozakiem, który miał czelność unieważniać rozkazy samego Lenina. Wdawała się we wszelkie możliwe przygody, wojenne i miłosne. Kochała także kobiety, jak się zdaje. A potem się zestarzała, a jej mąż zakochał się w innej kobiecie, tym razem nie na zasadzie szklanki wody, ale na serio. Cierpiała okrutne męki zazdrości. Ona, która tak zajadle zwalczała ów mieszczański przesąd. Później przyznała w liście, że istnieją rzeczy tak proste i bolesne, jak wiek kobiety, przywiązanie do kogoś wymagające wyłączności, nieznośny ból utraty, wierność, tak, wierność, i... I – rzecz jeszcze głupsza i prostsza – miłość.

Wyczuwałem, że znajduje się w stanie podobnego rozprężenia, jak poprzedniego wieczoru. Teraz bardzo łatwo mógłbym ją objąć, przyciągnąć do siebie, pocałować. Nie wzbraniałaby się, byłem tego pewien. Sprawa łatwa i zupełnie niemożliwa. Słyszeliśmy trzaskanie ognia w wielkim kamiennym piecu, szelest gałęzi ocierającej się o szybę. W oczach Wiery, wpatrzonych w taniec płomienia, gęstniały cienie.

Strzeliło polano, na podłogę posypał się snop iskier. Zwróciła ku mnie twarz i przemówiła niespodziewanie poważnym tonem:

– Niedawno znalazłam list od Otara. Zapewne to pan go przywiózł... Pierwszy prawdziwy list od trzydziestu lat. Pisze o tych właśnie sprawach: o bezwzględnym przywiązaniu, wierności, czekaniu. Twierdzi, że gotów jest czekać. Całkowicie zmienić swoje życie. Wrócić tutaj, w te strony, gdzie tyle czasu przebywał przymusowo. Zamieszkać w Mirnoje. Ze mną. I odejść, jeśli tamten drugi (jak pisze: „mężczyzna, który ma wrócić”).wróci...

Wargi miała rozchylone, oddech urywany, jak po biegu. Oczy ma wyobraźni ujrzałem ją w pędzie, w panicznej ucieczce przed siebie, która musiała się zakończyć upadkiem, przeciągłym krzykiem bólu i szlochem. Z niezręcznym pośpiechem spytałem:

– I odpowie mu pani?

Rzuciła mi zadziwiająco przenikliwe, niemalże przesywające spojrzenie.

– Już to zrobiłam.

– I...

– I odpowiedź brzmi: nie. Bo ten, który ma wrócić, wróci. W przeciwnym razie miłość to tylko wypita pośpiesznie szklanka wody, jak mówiła nasza piękna Aleksandra...

Uśmiechnęła się, wstała, żeby ubrać się do wyjścia. Ocknąwszy się z odrętwienia, podałem jej ten długi kawalerski płaszcz. Z przyjacielską swobodą życzyła mi dobrej nocy, pocałowała mnie szybko w policzek. Jedynie

leciutkie drzenie w kącikach warg zdradzało to, nad czym zdołała zapanować.

Stałem na zewnątrz, dopóki nie dotarła do drzwi swojej chaty. Szła powoli, sprawiając wrażenie, jakby powstrzymywała pragnienie, by rzucić się do ucieczki. W roztargnieniu omiatała drogę elektryczną latarką, chwilami kierując strumień światła w górę i godząc w posępny bezkres nieba.

3

Przyszedłem przed rozpoczęciem koncertu, żeby po kryjomu być obecnym przy próbie. Dawny ślubny ceremoniał mniej więcej już znałem. Miałem przede wszystkim ochotę zobaczyć niepewne wyłanianie się ról, choreografię zapomnianych ruchów, które nagle ozywają w pamięci ciała. Chciałem usłyszeć te stare głosy, jak będą stopniowo się zestrajać, przewycięzając tyle lat milczenia... Okrążywszy chatę, w której niegdyś mieściła się miejscowa biblioteka, gdzie miał się odbyć spektakl, przycupnąłem pod oknem. Stłuczona ćwiartka szyby została zastąpiona dyktą, więc dobrze słyszałem, co dzieje się w środku.

Zebrały się tam wszystkie „pensjonariuszki” z Mirnoje, siedem kobiet odzianych w długie suknie z innej epoki, w kwieciste szale. Biel, złocista rudość, czerń. Wiejski przepych wyciągnięty z lamusa – nawet przez szybę widać było przetartą tkaninę i wyblakłe kolory. Jekatierina, drobna i zasuszona, wystrojona w swego rodzaju pomarańczowy sarafan, za duży dla niej, była zwrócona tyłem

do okna, dyrygując chórem. Pozostałe staruszki ustawiły się w półkole i z ramionami skrzyżowanymi na piersi pokornie stosowały się do jej wskazówek. Status dyrygenta przypadł Jekatierinie w sposób jak najbardziej naturalny: ona jedyna pamiętała w całości pieśni i kroki składające się na dawny obrzęd.

Przygotowywały go na życzenie owego wielkiego leningradzkiego uczonego, którym – uzurpator wbrew sobie – byłem w ich oczach.

Zresztą próbę raz po raz przerywały krótkie, acz gwałtowne dyskusje, których przedmiotem byłem ja. Czy też raczej moje stosunki z Wierą. Ścierały się dwie opinie: z niebezpiecznego i amoralnego intruza, jakim widziała mnie większość, dzięki moim dwóm adwokatkom stawiałem się „dobrym chłopcem, co to potrafi rąbać drewno jak nikt”. Jekatierina, która z racji swojej roli starała się godzić zwaśnione strony, przywoływała moje przykładowe zachowanie tamtego dnia, gdy ją niosłem przez las, niemniej jednak przyznawała, że „dzisiejsi leningradzycy mają serce z granitu jak ich miasto...”.

Prawda była taka, że ocena mojej wartości jako człowieka stanowiła dla nich jedynie pretekst do poruszenia sprzeczności, której nikt nie śmiał rozstrzygnąć: ich świat zbudowany wokół kultu ofiar wojny ległby w gruzach, gdyby się okazało, że wierność Wiery wobec jej żołnierza została skruszona przez nową miłość, a przecież, z drugiej strony, jako kobiety, które same doskonale znały udrękę samotności, niczego nie mogły jej życzyć bardziej niż tego, by była kochana, choćby miała ulec miłości spóźnio-

nej, nie w porę, sprzeniewierzającej się tradycjom, miłości, która ją jednocześnie ocali i zniszczy. Stwierdziłem, że dwa wieczory spędzone w towarzystwie Wiery wystarczyły, żebym w pojęciu kobiet z Mirmoje stał się rozbuchanym i wytrwałym kochankiem. Ani razu nie wspomniały o dzielącej nas różnicy wieku. Prawie wszystkie ponadosiemdziesięcioletnie, połączyły nas w parę, a moja trzy-miesięczna broda doskonale odpowiadała blaskowi młodości bijącemu wciąż z rysów Wiery.

– Miłość jest jak wiosenny przybór wód – oznajmiła Jekatierina – nic się na to nie poradzi. Nawet jeśli teraz mamy jesień...

Kilka głosów zaczęło protestować, ale ona uciszyła je wdzięcznym machnięciem rąk i rozbrzmiał chór, z prawie idealną już spójnością. A kiedy odpowiedziała mu jako solistka, głosem zadziwiająco czystym i mocnym, ich spory sprzed chwili wydały się śmiechu warte, po prostu mała rozgrzewka dla strun głosowych.

– Przybędzie on z za morza, z za Morza Białego, szerokiego i zimnego – śpiewała Jekatierina, a chór podchwytował: – ... z za Morza Białego przybędzie on...

– Przybędzie on wraz z jutrzeńką, którą znajdzie tam, gdzie słońce zapada, przywiezie ci ją, z za morza – jej głos stawał się coraz bardziej rozmarzony, a chór odpowiadał odleglejszym echem dla podkreślenia długiej drogi, którą musi odbyć wędrowiec.

– Zoja, ciągle jesteś trochę spóźniona, postaraj się nadążyć. W przeciwnym razie jeszcze ktoś pomyśli, że przysypiasz...

Jekatierina przerwała chórowi, kobiety rozproszyły się po sali. „Jeszcze ktoś pomyśli...”. Ów „ktoś” to byłem ja. Przemknąłem pod oknem, żeby przejść od frontu domu, zanim zapukałem do drzwi, hałaśliwie tupiałem na schodkach, markując ciężkie kroki. Otworzyła mi dyrygentka. Białe policzki miała zaróżowione z emocji wywołanych próbą generalną.

Z początku premiera poruszyła mnie mniej niż próba. Obecność publiczności – w mojej osobie – sprawiła, że staruszki stały się bardziej sztywne, niepotrzebnie przybrały uroczyste pozy. A może przeciwnie – wreszcie oddając się w pełni przedstawieniu – uzyskały właśnie ów hierarchiczny ciężar, jakiego wymagała niegdysiejsza ceremonia. Kryła się za tym waga uprawianej ziemi, trwałość drewnianych idoli, pogańskich totemów, które ich przodkowie przybijali u wejścia do domów. Odgrywając sceny zaślubin, poruszały się ze złowieszczą ociężałością żywych posągów.

Ich głosy natomiast brzmiały rozbrajająco szczerze i lirycznie, a intonacja – jak zawsze w przypadku artystów amatorów – w większej mierze wyrażała osobiste emocje niż te należące do przedstawianych postaci.

W pewnym momencie ów dysonans między sztucznoscą rytuału a prawdą głosów stał się żaloszny. Staruszki odgrywały scenę, w której narzeczony wraz z wybranką wsiadają do łodzi i szykują się do przeprawy przez Morze Białe. Łatwo można było sobie wyobrazić, że w rzeczywistości owa epicka podróż odbywa się nie na morzu, lecz na jeziorze, nad którym leży Mirnoje, a miejsce,

„gdzie rodzi się jutrzienka”, to niewielkie wzgórze na wyspie. Stare aktorki machały powoli ramionami, naśladowując ruch wiosła. Pomyślałam, że Wiera być może właśnie w tej chwili wiosłuje, wracając łodzią do wioski. Starszki odgrywały również tę przeprawę. Ze wzruszającym oddaniem. Ale głosy nie kłamały.

– Przybędzie on pomimo mgieł i śniegów, żeby cię kochać... – śpiewały. Ale ich wargi wyznawały to, czego one naprawdę doświadczyły: mężczyźni, którzy wyjeżdżali i znikali na zawsze wśród wojennej zawieruchy, mężczyźni cali w ranach, którzy wracali, by umrzeć na brzegu tego jeziora.

– I dom wasz będzie pełen radości niby ul pełen miodu... – A brzmienie głosów mówiło o samotności chat pogrzebanych pod śniegiem, w których one nieledwie dożyły już swoich dni.

– Przybędzie on – zaintonowała Jekatierina z większym naciskiem, zapowiadającym bliski koniec ceremonii – przybędzie, z ramionami zmęczonymi podróżą, lecz z sercem mocno bijącym dla ciebie...

Nagle zobaczyliśmy Wierę.

Musiła zjawić się niepostrzeżenie na długo przed tą ostatnią częścią przedstawienia i stała oparta o futrynę drzwi, nie chcąc przeszkadzać chórowi.

Zdradziła ją dopiero ucieczka. Drzwi skrzyknęły, odwróciliśmy się, była tam z dłonią na klamce. Rysy wykrzywił jej bolesny grymas, oczy zdawały się większe od powstrzymywanych łez.

Chór umilkł. Tylko Jekatierina, która miała bardzo słaby wzrok, śpiewała dalej:

– Przybędzie on pomimo śnieżnej burzy... Przybędzie, żeby cię zabrać tam, gdzie rodzi się jutrzienka... Przybędzie...

Wybiegłem za Wierą, ale była już daleko. Uciekała teraz, nawet się z tym nie kryjąc, zmierzając na oślep w stronę wierzbiny nad jeziorem. Przez chwilę próbowałem ją tam odnaleźć, po czym zawróciłem, żeby poczekać na nią przy jej chacie. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu zastałem ją już w środku, w trakcie pakowania walizki.

– Jutro wyjeżdżam na trzy dni do Archangielska. Wie pan, odbędzie się tam święto miasta, na które zaproszono wszystkie lokalne sławy. W tym również mnie, ma się rozumieć. Nie wiem zresztą, z jakiego tytułu przypadł mi ten zaszczyt. Pewnie jako heroicznej nauczycielce z głębokiej prowincji. Nieważne, będę miała okazję kupić lekarstwa dla staruszek. Jeśli jeszcze pan nie wyjeździe, a zobaczy pan, że któraś z nich gorzej się czuje, na wszelki wypadek zostawiam namiary na lekarza. Mieszka dwadzieścia kilometrów od Mirnoje, ale przecinając jezioro, dotrze pan do niego w ciągu godziny...

Przypomniałem sobie wtedy o uroczystościach, które miały się rozpocząć w tym miesiącu i potrwać – w postaci rozmaitych wydarzeń kulturalnych – aż do przyszłego roku, kiedy to planowano wydanie albumu, do którego winieniem właśnie dostarczyć mój szkic o miejscowych zwyczajach. „O ślubnym rytuale – myślałem – wyśpiewanym przez staruszczyki, które potraciły mężów i synów ponad trzydzieści lat temu...”

Rano patrzyłem, jak Wiera wyrusza w drogę. Miała na sobie jasnoróżowe palto, włosy upięła w kok. W mroźnym, przejrzystym powietrzu unosiła się przez chwilę goryczka jej perfum „Czerwona Moskwa”. W chodzie Wiery, w całej jej postawie czuło się agresywne zdecydowanie kobiety gotowej na wszystko, by wykorzystać swoją ostatnią szansę.

„Głupstwa! – przerwałem zniemacka sam sobie te rozważania. – Po prostu kobieta, która przyspiesza kroku, w obawie, że przegapi przejazd ciężarówki przez rozstaje z pustą skrzynką na listy...”.

Gdy znikła mi z oczu, poczułem niemal ulgę, swego rodzaju wyzwolenie. Z lekkim sercem sam zacząłem się wreszcie szykować do wyjazdu, to znaczy wrzuciłem kilka książek i zeszytów na dno walizki, po czym błąkałem się – z dala od wioski – w mrocznej i świetlistej katedrze lasu.

4

W jednej z wymarłych wiosek połówka kartki z zeszytu w kratkę na drzwiach dawnego sklepu spożywczego: „Wracam za godzinę”... Atrament rozmyty, napis ledwie czytelny. Drzwi zamknięte, a budynek od lat pusty. I ta obietnica powrotu za godzinę.

– Oto, co zostaje po upadku imperium – mówiłem sobie często, natrafiając podczas tych wędrówek na pozostałości epoki, której tak nie lubiliśmy. Epoki, która chciała uczynić z tej północnej krainy jeden wielki kolektywistyczny raj, a po której została teraz ta ogromna samotność urozmaicona kilkoma mimowolnie ironicznymi napisami, wkrótce już nie do odszyfrowania.

Gęste indygo świerkowego lasu, rdzawość poszycia, nieoczekiwane drapieżna plama błękitu wśród szarości nieba. A czasem ciężki, ciemny błysk wody skrytego w gęstwinie stawu. Czerń, ochra, błękit. To właśnie odnajdywało się po zakończeniu pewnej epoki. „I po naszym przelotnym pobycie na tej ziemi...”, myślałem, wracając wieczorem do domu. Walizka była już prawie

spakowana, dom oczyszczony ze śladów mojej obecności. Życie w Mirnoje w dalszym ciągu będzie się toczyć spokojnie po moim wyjeździe. To było zdumiewające, przykre, oczywiste.

W takich chwilach dni, które tu spędziłem, wydawały mi się niespełnione, zmarnotrawione przez moją niezręczność: jakże niepełne to spotkanie z Wierą, z jej przeszłością, z tym, co – na krótko – zrodziło się między nami. Czyli właściwie co? Przychodziły mi na myśl słowa pretensjonalne, napuszone: przywiązanie, pożądanie, zazdrość... Ruszyłem w dalszą drogę, wpatrzony w ciemne złoto opadłych liści, w biel zatopionej w jeziorze chmury. Ruchliwa trwałość tych wizji wyrażała znacznie lepiej to, co nas – w tak nieokreślony sposób – zbliżyło.

Każdego ranka planowałem wyprawić się aż do Morza Białego. I za każdym razem rezygnowałem. Pierwszego dnia z uzasadnionego – lekko zaprawionego hipokryzją – powodu, nie chcąc zostawiać staruszek bez pomocy. Tak naprawdę wcale mnie nie potrzebowały. Niczym grzeczne dzieci robiły wszystko, żeby nie zachorować („Żeby nie umrzeć!”, żartowałem cynicznie) podczas nieobecności Wiery. Wierny jej zaleceniom uzupełniałem im zapasy wody, rąbałem drewno, odwiedzałem je po kolei. Nawet te najśłabsze objawiały niewyczerpaną radość życia. Obiecałem sobie, że nad morze wybiorę się nazajutrz.

Powstrzymało mnie wspomnienie, niewinne i groźne jednocześnie.

W połowie drogi do celu dotarłem do wioski, której z początku nie rozpoznałem. Niezamieszkałe chaty, dachy

o postrzępionych strzechach, zarośnięty sitowiem staw. Stopniowo zorientowałem się, gdzie jestem: Gostiewo, wioska Jekatieriny... Ogarnęło mnie poczucie – narastające w miarę, jak zbliżałem się do jej domu – że zapuszczam się na zakazany teren. Ławeczka, na której przysiadłem, czekając na wynik dyskusji pomiędzy staruszką a Wierą. Stopnie schodków skrzypiące pod moimi krokami.

Nie opuszczała mnie nieprzyjemna świadomość, że beczeszczę to miejsce, znieważam przeszłość. Drzwi otworzyły się uległe. W przyćmionym świetle pozbawionego słońca dnia wewnątrz chaty wydało mi się niepewne, jakby nieufne. Pośrodku izby wznosiła się ta sama zaskakująca budowla: domek wewnątrz domu. Przy piecu stała para starych filcowych butów o dziurawych podszwach, niczym obcięte nogi gotowe do wymarszu. Przewyciężając niejasny, zabobonny lęk, pchnąłem drzwi wewnętrznej chatki. Małeńkie łóżeczko, malusieńki taborecik, wąziutka półeczka w roli nocnego stolika. A na ziemi pozółkła koperta. „Stary list, który czytała co wieczór od nowa”, pomyślałem, odwołując się do książkowych i filmowych szablonów...

Nie, to była swego rodzaju ostatnia wola przygotowana zawczasu przez tę kobietę, która spodziewała się umrzeć w samotności. Dużym starannym pismem zanotowała swoje nazwisko, imię, miejsce i datę urodzenia. Na odwrocie zaznaczała w słupku pierwszy dzień każdego miesiąca, niewątpliwie po to, by można było ustalić przybliżony czas jej śmierci... A u dołu strony, wciąż tym samym nieco szkolnym pismem, dodała następujące ży-

czenie: „Proszę, jeśli to możliwe, zasadzić na moim grobie dziką różę. Mój mąż, Iwan Nikiforowicz Glebow, który zginął za Ojczyznę w sierpniu 1942 roku, bardzo lubił ten krzew”.

Wychodząc z chatki-matroszki, zawróciłem do Mirnoje, tą samą drogą, którą szliśmy, prowadząc Jekatierinę do jej nowego domu.

Dotarłem do wioski u schyłku dnia i postanowiłem zostawić list Jekatieriny u Wiery, dodając karteczkę od siebie: czy należy oddać te smutne zapiski staruszce teraz, gdy jej sytuacja jest zupełnie inna? W rzeczywistości wykorzystałem tę podniesioną z ziemi kopertę, żeby choć na minutkę zajrzeć do domu Wiery. W Mirnoje nigdy nie zamykano drzwi na klucz.

W głównej izbie nic się nie zmieniło od naszego ostatniego spotkania. „Mieszkanie mniszki albo starej panny”, myślałem złośliwie, chociaż zdawałem sobie sprawę, że ten osąd jest może prawdziwy ze względu na skromność chaty, lecz fałszywy, jeśli chodzi o istotę rzeczy. Gdyż mimo pozornego porządku czuło się tutaj gęstą i niepokojącą obecność kobiety. Za uchylonymi drzwiami sypialni widziałem wysokie łóżko w wiejskim stylu z żelaznymi prętami w nogach i u wezglowia. Na wieszaku przy piecu wisiała bluzka... Nie, ostatecznie to wcale nie te niedyskrecje zdradzały tajemnicę Wiery. Raczej wspomnienie kobiety, która w świetle zachodzącego sierpniowego słońca wyciągała z wody rybacką sieć, a fałdy mokrej sukni osłaniały jej ciało. Innej kobiety o nagości powleczonej błękitną księżycową poświatą, przed

drzwiami łaźni w tamtą wrześnieową noc. Innej, tej, która podała mi wiosło o trzonku ciepłym jeszcze od dotyku jej dłoni. Jeszcze innej, siedzącej na skraju ławy ze wzrokiem utkwionym w rozstaje dróg. A także tej, którą usiłowałem zahipnotyzować moimi nieśmiały mi pieszczołami.

Wszystkie te kobiety tu były. Nie, nie w tej izbie, lecz we mnie, bez mojej wiedzy stały się częścią mego życia. A jeszcze wczoraj Mirnoje wydawało mi się jedynie krótkim epizodem, nieledwie zakończonym.

Przed wyjściem odwróciłem się raz jeszcze, żeby zachować w pamięci milczącą intymność tej izby. Co dziwne, ów ostatni rzut oka przypomniiał mi podwójną chatkę Jekatieriny. Wyobraziłem sobie Wierę samą tutaj, w środku zimy, usiłującą wyrzeć na zewnątrz przez oblodzone szyby...

Nie dając sobie czasu do namysłu, chwyciłem brzeg długiej ławy i pchnąłem ją w głąb izby. Następnie w ten sam sposób cofnąłem wielki stół. Meble z grubych desek, o cyklopowym ciężarze. Teraz, jeśli usiadło się na skraju ławy, nie widać było odległych rozstajów, lecz taflę jeziora nasyconą już fioletem nieba.

Trzeciego dnia nigdzie nie dotarłem, zwiedziony nieustającą grą światła. Zachód zasnuł się niskimi ołowianymi chmurami, wróżącymi atak śniegu. Potem z kolei zerwał się południowy wietrzyk, przynosząc ze sobą słońce, pnie świerków stały się rdzawe, ciepłe, pachnące żywicą. To było jak obietnica wiosny, zapowiedź dnia bez końca, początek nowego życia. Z beztróską zapamię-

tałych wędrowców, którzy nie myślą o powrocie, popędziłem na szlak wiodący ku morzu. Godzinę później niebo przygasło, powietrze nabrało lodowej cierpkości i zawróciłem z drogi. W oczekiwaniu na nową wiosenną zładę.

Lśniący miraż rozświetlił las w momencie, kiedy usiłowałem pokonać strumień. Znałem już tę wąską rzeczulkę o przejrzystości mocnej herbaty. Przekraczało się ją, przecinając las, żeby sobie skrócić drogę do Mirnoje. Ale poziom wody wyraźnie wzrósł i bród, który zdarzało mi się już przemierzać, ginął obecnie pod falującą pierzynką z alg. Uklęknęłam, wypilem lodowaty łyk, palący niczym alkohol, po czym ze skrupułami olbrzyma, co niszczy kruche piękno wyrafinowanej kompozycji z wody i piasku, zacząłem iść, ostrożnie, starając się nie zmącić dna, gdzie spoczywały jesienne liście. Słońce właśnie przeniknęło przez chmury, znów była wiosna, włóczęga bez celu, oślepiająca gonitwa złocistobrązowych, wibrujących pod powierzchnią wody błysków.

Ledwie kilka kroków dzieliło mnie od przeciwnego brzegu, kiedy usłyszałem jakiś tętent. Miejsce, gdzie postawiłem nogę, było najgłębsze w całej rzece, woda przeslizgiwała się tuż przy wierzchu moich kaloszy. Znieruchomiałem w niepewnej i komicznej pozycji, nie mając odwagi iść dalej ani się wycofać. Wtedy rozległ się trzask łamanych gałęzi i zupełnie zamarłem. Wyobraziłem sobie dzikie zwierzę, które – ścigane bądź ścigające, może wręcz mnie – ukaze się na brzegu.

Tętent stawał się coraz bliższy, powoli zrobiłem krok w tył, macając stopą grunt, i odwróciłem się. Napędzana

strachem pamięć w jednym błysku podsuwała mi wszystkie opowieści z polowań, jakie kiedykolwiek słyszałem: ranny łoś w przedśmiertnej męce rozpruwa tych, którzy mu staną na drodze, niedźwiedź wyrwany z pierwszej fazy zimowego snu w konsekwencji staje się ludojadem, sfora wilków na tropie jelenia... Powiniennem uciekać z wodą chlupoczącą w butach czy może raczej wykorzystać właśnie swój paniczny paraliż i liczyć na to, że pozostanę niezauważony? Pomimo rozgorączkowania, zdążyłem zauważyć mrowisko na brzegu, skąd dobiegał hałas...

Gałęzie młodych świerków poruszyły się i pomiędzy nich wyłoniła się jakaś żywa istota, spiesząc w stronę wody. To była kobieta. Sekundę później rozpoznałem Wierę. Przykłękała może dwadzieścia metrów powyżej miejsca, w którym ugrzęzłem, piła małymi gwałtownymi łykami, podniosła się, dyszała niczym konające zwierzę. Jej twarz – rozpalona po biegu – zdawała się niewiarygodnie odmłodzona, jednocześnie ożywiona i oślepiona nieznanym mi wstrząsem. Powstrzymywała potężny krzyk dzikiej radości, czy może właśnie szloch, nie miałem pojęcia. Już chciałem ją zawołać, ale poczułem się nagle zbyt śmieszny, drżąc przed utonięciem w odmętach głębokich na czterdzieści centymetrów i postanowiłem najpierw wy dostać się na brzeg, a potem dogonić ją na ścieżce. Nie zdążyłem, gdyż ledwie złapała oddech, znów ruszyła pędem, przeprawiając się przez rzekę w miejscu brodu, którego ja nie umiałem znaleźć. Spozrzegłem, że ma na nogach botki na obcasach, mało odpowiednie do lasu. Woda wzburzyła się od jej kroków, opadła, niosąc w moją stronę

tumany piasku. Wiera biegła już przez las, po kilku sekundach wiatr szumiący w koronach świerków zagłuszył odgłos jej ucieczki.

Strużka lodowatej wody przeciekła nagle do mojego lewego kalosza, ostra jak brzytwa. To mnie ocuciło, wydobylem stopy z mułu i ruszyłem do brzegu, nie przejmując się już brodem. A kiedy uspokoiony marszem próbowałem zrozumieć to niespodziewane zjawienie się Wiery, przyszła mi do głowy pewna myśl, na dowód, jaki stopień próżności może osiągnąć mężczyzna, któremu się zdaje, że kocha. Całkiem poważnie sądziłem, iż wróciła wcześniej w obawie, że już mnie nie zobaczy przed moim wyjazdem, a koniecznie chciała spotkać się ze mną raz jeszcze...

Widok Mirnoje, jego chat skupionych pod niebem znów zasnutym szarością, osłabił nieco moje poczucie własnego znaczenia. „Na pewno któraś ze starszek zachorowała, Wiera dowiedziała się o tym w drodze powrotnej i w swym oddaniu postanowiła jak najszybciej dotrzeć do wioski skrótem przez las. W każdym razie nie pędziła tak dla moich pięknych oczu...”.

Godzinę po moim powrocie ktoś zapukał do drzwi. W progu ujrzałem Wierę. Pod zarzuconym na ramiona jasnoróżowym paltem miała spódnicę przed kolana i odświętną bluzkę, którą widziałem u niej na wieszaku przy piecu, włosy związała w gruby warkocz przepleciony szkarłatną wstążką, oczy lekko pociągnęła ołówkiem i spoglądała na mnie z uśmiechem, który wydał mi się zarazem wyzywający i bezbronny.

– Oficjalne uroczystości zakończone – oznajmiła nieco nazbyt śpiewnym głosem – ale może i my moglibyśmy uczcić razem rocznicę powstania miasta. Zapraszam do siebie. Kolacja gotowa.

Odwróciła się na pięcie i odeszła, nie dbając – można by powiedzieć – o to, czy pójdę za nią, czy też nie. Niepewny, co właściwie się dzieje, a zwłaszcza, co może się zdarzyć, pobiegłem się przebrać, chwyciłem obszerną pelerynę z namiotowego płótna i wypadłem na dwór. Kobieta sylwetka w jasnym palcie w każdej chwili mogła zniknąć w nocnej już uliczce.

5

Baliśmy się siebie nawzajem. A może raczej o siebie nawzajem. Baliśmy się, że to drugie popełni jakiś nie-takt, który ujawni całą sztuczność tej kolacji przy świecach. Baliśmy się, że to drugie odsunie się nagle i z dystansu przyjrzy się izbie, stołowi zastawionemu talerzami i butelkami, obłapianemu właśnie ciału. Baliśmy się, że wyczytamy w obcym nagle spojrzeniu drugiego: „Ależ co my tu właściwie wyprawiamy, w tej chacie zagubionej gdzieś na końcu świata, tej nocy targanej szaleńczymi podmuchami wiatru? Dlaczego się śmiejemy? I to śmiejemy się tak sztucznie! Dlaczego ta dłoń gładzi mi szyję? W co my takiego gramy?”.

Jeden fałszywy ruch, jeden rzut oka za dużo wystarczyłby, żeby zmienić tę schadzkę w obłąkańczą pantomimę. Cel spotkania był wiadomy: mieliśmy spędzić razem noc. Taka była logika całej tej inscenizacji i to właśnie wydawało się coraz bardziej nieprawdopodobne. Coraz bardziej wyczekiwane i niemożliwe. Ta kobieta, która uśmiechała się do mnie i – przechylając na bok

głowę – ścisnęła moją dłoń między policzkiem i ramieniem. Niemożliwe. Tak jak słodki smak szminki, który właśnie pozostawiła na moich wargach.

Baliśmy się, że jedno z nas wstanie i wymamrocze z ziewnięciem: „No dobra, to wszystko żart, prawda?”.

Od czasu do czasu ten lęk przebijał na moment w naszej intonacji, w naszej mimice i maskowaliśmy go pośpiesznie. Mieliśmy wybór między dwoma scenariuszami: albo ta kolacja przemieni się w solidnie zakrapiany posiłek w wiejskim stylu, z hałaśliwą radością i naturalną poufałością bliskich sąsiadów, albo atmosfera zacznie przypominać studencką imprezę. Czuliśmy się współwinni. Należało przemienić tę starą chatę, ten wiatr potrząsający szybami w oknach, nietrwale ciepło tej izby i ciepło naszych ciał w miłosną schadzkę, uczynić z tej nieokreślonej mieszanki zmysłowy aliaż. Nasze dłonie, nasze ciała weszły w rolę, nasze słowa szybko zdusiły w zarodku nieme zakłopotanie. Jedynie oczy wymieniały niekiedy mrozące wyznanie: „Po co to wszystko? Właśnie, po co?”.

Ta gra stawiała opór rzeczywistości do chwili, gdy – stojąc naprzeciw sobie – znaleźliśmy się na progu sypialni. Zapadła cisza, którą zaraz przytłumiło dzikie wyć wiatru, trzaskanie drew w piecu i – jeszcze bardziej ogłuszające niż te odgłosy – nasze zmieszanie. Pomimo pijackiego otępienia zaświtała mi bardzo jasna myśl: ta kobieta nie wie, co ma teraz robić, nie potrafi już dalej grać. Objawiło mi się wspomnienie wczesnomłodzieńczej miłości, cień pierwszej kochanki i podobnej ignorancji w obliczu pożądania.

Przewyciężyła tę niepewność niemal natychmiast. Znów stała się kobietą dojrzałą, kobietą, która zna się na rzeczy, tak że jej wahanie można było uznać za lubieżną ociężałość upojonego alkoholem ciała. Parsknęła nawet drwiącym śmieszkiem, kiedy chciałem pomóc jej się rozebrać. Naga, przyciągnęła mnie do siebie, wiodąc do tego wysokiego łoża, które tyle razy sobie wyobrażałem. Wyobraziłem sobie przecież nawet ten zapach męskiej wody kolońskiej. Mojej własnej. I zapach jej włosów, skóry, wyschłych brzoźowych liści ożywionych parą łaźni.

Ta pewna siebie kobieta zniknęła przy pierwszych uściskach. W miłości zupełnie nie wiedziała, kim jest. Dorodne kobiece ciało i brak doświadczenia nastolatki. Potem gwałtowność – muskularna, wojownicza, narzucająca swój rytm przyjemności. I znów niemalże nieobecność, uległość śpiącej, głowa odwrócona, oczy zamknięte, wargę zagryziona z całej siły. Oddalenie tak całkowite – jakby już umarła – że w pewnym momencie odsunąłem się od niej i chwyciwszy za ramiona, potrząsnąłem, zaniepokojony jej bezruchem. Na wpół otworzyła oczy, zaszła łzami, uśmiechnęła się do mnie i ten uśmiech – zgodnie z regułami naszej gry – przepoczwarzył się w mętny grymas pijanej kobiety. Jej ciało poruszyło się. Oddawała się z zapamiętaniem kobiety, która szuka u mężczyzny wybaczenia albo właśnie pragnie z niego zadrwić. Kilkakrotnie rozkosz wykrzywiła mi twarz. W takich chwilach męskiego spełnienia napotykałem jej wzrok, wyrażał on

zdumiewające współczucie właściwe jedynie dla prostych umysłów i matek.

Udało mi się do samego końca zapomnieć, kim jest ta kobieta. Bo ilekroć to sobie przypominałem, przyjemność stawała się nie do zniesienia w swej świętokradczej nowości i straszliwej cielesnej pospolitości.

Na końcu nastąpiło trzaśnięcie drzwi, a może okna, nie od razu się zorientowaliśmy, Wiera wstała pospiesznie, przemierzyła pokój, kierując się w stronę wejścia. Kiedy – na wpół ubrany – dołączyłem do niej, siedziała na skraju ławy, okryta swym długim kawaleryjskim płaszczem zarzuconym na gołe ciało. Wyglądała przez okno i zdawała się zupełnie obca wobec tego, co właśnie wydarzyło się między nami. „Bo też nic między nami nie zaszło”, pomyślałem wręcz w stanie bliskim halucynacji. Ta kobieta całe życie tkwiła przykuta do tej ławy, w oczekiwaniu na powrót mężczyzny... Wybełkotałem coś niewyraźnie, coś pomiędzy próbą zostania jeszcze i pożegnaniem. Nawet nie drgnęła, szepnęła „dobranoc”, nie odrywając wzroku od szyby.

6

Na zewnątrz wiatr sieka zajadle na niebie żółć księżyca i zielonkawe stada chmur. Powietrze jest rześkie i z szyderczą przenikliwością porównuję ten zmienny pejzaż do melodramatu z romantycznym światłem księżyca w tle, który szalony operator puszcza z szybkością filmu animowanego. Wróciwszy do siebie, ładuję do pieca grube polana, z łatwością zajmują się ogniem, strzelając radośnie. I poczucie szczęścia zmącone poprzednio nieprawdopodobieństwem tego, co właśnie przeżyłem, wybucha wreszcie na całego. Kochałem się przed chwilą z taką kobietą! Temu okrzykowi odpowiada echo, już teraz bez troskie i nieprzyzwoite: „Przespałem się z kobietą, która przez trzydzieści lat czekała na innego!”. Z trudem mi przychodzi zawstydzić się z powodu tych myśli.

Mam dwadzieścia sześć lat, co należy uznać za okoliczność łagodzącą. Wiek, w którym człowiek szczyti się jeszcze liczbą kobiet, które posiadał. W tym następującym po miłości nawrocie cynizmu dokonuję takiego mniej więcej rachunkowego podsumowania. Nie popełniam

natomiast tego głupstwa, by umieścić tę kobietę pośród innych. Taka kobieta! Znów myślę o braku jakichkolwiek mężczyzn w jej życiu. Z dumą konstatuuję mój status wybrańca.

Zasypiam w pełni fizycznego i duchowego zadowolenia, w idealnym stanie, w jaki kobieta może wprawić mężczyznę, który nie żąda od niej niczego innego.

Moja satysfakcja jest tak pogodna, że rano, przypomniawszy sobie słowa Otara, przyjmuję dobroduszenie jego definicję mężczyzny-wieprza. Ta łatwa radość trwa zaledwie godzinę. Wraca wspomnienie pewnego dnia: łódź zawieszona między niebem a rozkołysaną powierzchnią jeziora, kobieta, wiosłująca pewnie, rytmicznie, ciało zmarłej w moich ramionach... Przeniesiony w inną skalę czuję się nagle śmiesznie mały, mizerny, skulony wokół przyjemności, która już się rozwiewa. Jestem jedynie nic nieznaczącym incydentem w porównaniu z ową długą przeprawą przez jezioro. Pojawia się bolesna i przerażająca myśl: nie powinienem był się zapuszczać w wymiar, który mnie w takim stopniu przerasta. Ratuje mnie zmysłowe wspomnienie. Sprężyste, zwarte ciepło kobiecej piersi, zachęcające rozchylenie gładkiej pachwiny... Cały ranek udaje mi się nie opuszczać tego cielesnego schronienia.

Deszcz pada szarym murem. Ani chwili przerwy, ani sekundy wytchnienia. Wyobrażam sobie Wierę w drodze do szkoły. „Kobieta, która mi się oddała”. Gorąca fala męskiej dumy, w płucach, w brzuchu. Nachodzi mnie ochota, by zapalić, wyglądając na ulicę, ochota, by ze

znudzoną miną pogрузić się w melancholii pomimo owe-
go rozkosznego wrzenia, jakie wywołuje myśl o dokona-
nym właśnie podboju. Około trzeciej po południu poprze-
dzona setkami innych przywoływanych w wyobraźni scen
pojawia się taka oto sekwencja: ona, wracająca do domu
po zalanych wodą drogach, ona w swojej chacie, w kuch-
ni, przygotowująca wieczorny posiłek, kolację dla nas
oobjga... Początek przyjemnej rutyny miłosnego związku.

Koło czwartej myśl o jej samotności po moim wyjeź-
dzie. Deszcz ustaje, niebo jest jak z polerowanej stali,
bezlitosne. Będzie chodzić tą uliczką wkrótce zasypaną
śniegiem. Ślady jej stóp, pojedyncze rano, pojedyncze po
powrocie ze szkoły. Będzie o mnie pamiętać. Często
o mnie myśleć. Być może cały czas.

Jest coś groźnego w tej wizji, ale w tym momencie prze-
waża mile polechtana próżność: ja, daleki kochanek, któ-
ry wyjechał, nie zostawiwszy adresu.

O szóstej ktoś puka do drzwi. Gruba Zoja. Wchodzi
z ceremonialną powolnością, zgodnie ze zwyczajem de-
cyduje się przestąpić próg dopiero, gdy trzeci raz pona-
wiam zaproszenie. Siada, zgadza się napić herbaty. A po
herbacie wyciąga z kieszeni gazetę, nie lokalne pisemko,
ale dziennik archangielski, rozkłada go i starannie rozpo-
ściera na stole. Relacje z uroczystości związanych z rocz-
nicą założenia miasta, zdjęcia znanych osobistości uro-
dzonych w tych stronach, które wslawiły się w Moskwie,
w Leningradzie, a nawet – jak ten łysy inżynier – na baj-
konurskim kosmodromie.

Przerzucam strony, wyrażam swój podziw dla inżyniera: pochodzi z małej wioski nad Morzem Białym, a tu proszę – wynalazł środek łączności międzyplanetarnej! Uporczywość spojrzenia Zoi mnie żenuje. Przypatruje mi się z pobłażliwą wrogością, jakby chciała powiedzieć: dobra, dobra, skończ już z tym bajdurzeniem, to przejdziemy do rzeczy. Millonę, ona przewraca stronę, wskazuje palcem jedno ze zdjęć.

Podstarzały mężczyzna, sfotografowany w towarzystwie dwóch wnuczek, jak wyjaśnia napis pod spodem. Okrągła, mięsista twarz, dobrotliwe spojrzenie. Marynarkę obciąża kilka sporych odznaczeń. „Typowy sowiecki aparatczyk”, mówię sobie w duchu i czytam, że jest to niejaki Borys Koptiew, sekretarz komitetu partii w wielkiej moskiewskiej fabryce...

– To on... – głos Zoi zdradza nagle słabość bez tchu. Ale staruszka zaraz zbiera siły i powtarza z naciskiem, jakby wygłaszała werdykt: – Tak, to właśnie on. Mężczyzna, na którego Wiera czekała całe życie...

Opowieść Zoi jest krótka i słucham jej – mam wrażenie – całym ciałem, rezonuje we mnie niczym cios, niczym upadek, niczym fala uderzeniowa, nie pozostawiając we mnie nic nienaruszonego, nic nietkniętego.

Ostatnie wojenne starcia pod Berlinem, tego dnia dziesiątki mężczyzn wypadają z pontonu rozprutego na skutek wybuchu. Saperzy przygotowujący przekroczenie Sprewy. Wśród zmasakrowanych zatopionych ciał – zwłoki Borysa Koptiewa. Jego bliscy otrzymują zwięzłe zawiado-

mienie, typowy formularz wydrukowany w milionach egzemplarzy: „poległy na polu chwały... bohaterską śmiercią”. Z bliskich została mu jedynie matka, którą wkrótce zabierze klęska głodowa 1946 roku. I ta zdziwiała narzeczona, która będzie trzymać niczym relikwię pierwsze zawiadomienie (wysłane omyłkowo, jak ją poinformują władze wojskowe): żołnierz jest tam „uznany za zaginionego”. Oczekiwanie może się rozpocząć.

Rozpoczyna się także nowe życie Koptiewa, który dopiero co wyszedł ze szpitala: powrót, świąteczna Moskwa, oszołomienie, że na każdym kroku witają go jak bohatera, liczba uśmiechających się doń kobiecych twarzy, liczba kobiet gotowych się oddać sprawnym i wolnym mężczyznom, takim jak on, którzy stali się rzadkością... Z nikomu nieznanego młodego kołchoźnika przemienił się nagle w dzielnego obrońcę ojczyzny, on, prostak, skazany – zdawałoby się – na dożywocie w tej zapadłej dziurze na północy niczym niewolnik, przeniósł się oto do stolicy, gdzie otrzymane medale otwierają mu drzwi na uniwersytet, zapewniają karierę, wymazują jego wieśniaczą przeszłość. Poza ową przeszłością niczego się nie boi. W drodze powrotnej z Berlina do Moskwy widział zniszczone białoruskie i rosyjskie wsie, zaludnione przez wygłodniałe cienie, okulawionych starców i rachityczne dzieci. Wszystko, tylko nie to! On chce zostać wśród zwycięzców.

Zoja poszła dobrą chwilę temu. Jej opowieść toczy się dalej w moich myślach, ciąg łatwych do wyobrażenia

zdarzeń, znanych z tylu innych świadectw, uosabianych przez tyle mężczyzn i kobiet, jakich napotykałem od dzieciństwa. Powrót żołnierza. Epoka, w której przyszedłem na świat, była w całości poświęcona temu marzeniu, jego radości, jego rozpaczy.

Czy zdarzało mu się myśleć o Mirnoje, o miłości pozostawionej wśród mokrych, wymęczonych kwietniowych śniegów? Pewnie bardzo rzadko. Szok wywołany odkryciem Europy był tak potężny, dla niego, który nigdy przedtem nie widział miasta ani piętrowych domów. A potem Moskwa, silny narkotyk nowości, pokusy – ten cudowny środek pobudzający. Nie zapomniał, nie, po prostu nie miał już czasu pamiętać.

Przed wyjściem Zoja zatrzymała się w progu i oznajmiła, spoglądając mi prosto w oczy: „Tak zatem wygląda ta nasza historia – i dodała, niemalże ostrym tonem: – Ta nasza tutejsza historia...”. Jej głos spokojnie acz definitywnie wykluczył mnie z owej historii. Jeszcze wczoraj to odrzucenie sprawiłoby mi przykrość, czułem się naprawdę zakorzeniony w Mirnoje. Ale teraz poczułem raczej ulgę. Niczym beztroski spacerowicz zabłąkałem się przypadkiem na tyły niegdysiejszej wojny.

Po wyjściu Zoi kilkakrotnie usiłuję odtworzyć życie Koptiewa, wyobrazić sobie te trzydzieści lat, które uczyniły z niego owego dobrotliwego dziadka i szanowanego działacza partyjnego. Aż w pewnym momencie pojmuję, że myślę o nim, żeby nie myśleć o Wierze. I zdaję sobie sprawę, że nie mam ani dość odwagi, ani nie dysponuję

odpowiednią logiką, żeby ogarnąć teraz wyobraźnię uczucia tej kobiety, która całe życie czekała na ukochanego mężczyznę. Pustka, nieprzyjemne osłupienie, bojaźliwa irytacja, nic więcej.

Jest bardzo zimno. Wychodzę na dwór po trochę drewna do pieca złożonych koło szopy. Niebo przybrało barwę lodowatego fioletu, stwardniałe błoto pod nogami rezonuje, zapowiadając mróz. Drewno też dźwięczy niczym klawisze fortepianu. Już mam wracać, gdy nagle w głębi ulicy dostrzegam snop światła latarki, omiatający powolnym zygzakiem koleiny drogi. Wiera... Cofam się, przyciskam do bali chaty, chowam w cieniu.

A więc trzeba mi tego upokarzającego strachu, żebym zrozumiał, kim jest teraz ta kobieta. Głos wewnętrzny, ten sam wstrętny głosik, który sobie wieszował, że „przespałem się” z taką kobietą, wykrzykuje: „Teraz ona się ciebie uczepli!”. Bardzo szlachetnie umieszczamy ten głos na obrzeżach naszej świadomości, wrzucamy go w bagno najniższych instynktów. Nie byłbym taki pewien. Bo często to on właśnie odzywa się jako pierwszy i bardzo nas przypomina.

Światło latarki faluje łagodnie, zbliżając się nieubłagannie do mojej kryjówki. Najwyraźniej ona idzie do mnie, chce ze mną porozmawiać, ulżyć sobie w cierpieniu, zwierzyć ze swej udręki, szukać pociechy, wypłakać się na ramieniu mężczyzny, który... I nagle pojmuję, kim odtąd jestem dla tej kobiety, kim się stałem ubiegłej nocy. Jestem być może jedynym mężczyzną, jakiego poznała od wyjazdu swego żołnierza. Oprócz mnie nie ma w jej życiu

nikogo. Ślady jej kroków zimą, w tej uliczce. A w jej chacie okno, z którego widać rozstaje dróg, skrzynkę na listy. Ona nie ma już na co ani na kogo czekać. A zatem wypada na mnie!

Strumień światła obryzguje schodki przed wejściem do mojej chaty, przesuwają się metr od moich stóp. Zapuka do drzwi, usiadzie, wciągnie mnie w niekończącą się rozmowę przerywaną łkaniem, uściskami, których nie będę miał odwagi ukrócić, wymuszeniami obietnic. Wszystko będzie rozpaczliwie sztuczne, a przecież jak najbardziej prawdziwe, zanurzone w tej prostej i czystej prawdzie jej zmarnowanego życia. Ona tysiąc razy bardziej potrzebuje pomocy niż starowiny, którymi się opiekuje.

Falowanie światła nie ustaje, mija mój dom, oddala się. Wiera idzie pewnie przygotować drzewo i wodę na jutrzejszą kąpiel którejś ze staruszek. Ta praktyczna myśl pozwala mi odetchnąć, ale tylko na powierzchni mego strachu. W głębi sprośny głosik czuwa: „Zajdzie do ciebie, wracając, usadowi się, pewnie będzie milczeć, udając, że nie wątpi w twoją szlachetność. Jesteś załatwiony. Pojedzie za tobą do Leningradu. Już cię teraz nie puści. Miłość starzejących się kobiet. Zwłaszcza takiej kobiety! Zastąpisz jej tamtego. Już jesteś tamtym, na którego jej się zdawało, że czeka...”

Wchodzę po schodkach, rozpalam ogień, ale wolę siedzieć po ciemku. Drzwiczki pieca przepuszczają jedynie wąski promyczek różowego blasku. Jeśli ktoś (ktoś!) przyjdzie, udam, że już śpię.

W rzeczywistości wszystko odbyło się inaczej. Szczegółowa – minuta po minucie – rekonstrukcja tamtej nocy podłego tchórzostwa nastąpiła znacznie później, w owych chwilach absolutnej szczerości, kiedy napotykamy nasz własny wzrok, bardziej bezlitosny niż ludzka pogarda i osąd niebios. Spojrzenie to trafia w sedno i poraża śmiertelnie, gdyż widzi rękę (moją), która ostrożnie opuszcza haczyk, palce pieszczą metal, żeby uniknąć najmniejszego szczęku, drzwi są zamknięte, w tej wiosce, gdzie nikt nigdy nie używa rygli, światło elektrycznej latarki znów omiata ciemność, wracając uliczką, cofam się, nadstawiam ucha. Nic. Ta, której los lękam się podzielić, znika w mroku.

Naprawdę było jedynie to: lęk, lodowate drwa, które przyciskałem do piersi, wyczekiwanie bez końca o kilka kroków od promienia światła przecinającego błotnistą drogę, a potem czuwanie we wnętrzu chaty, gesty przytępione strachem, ten haczyk, który zniżałem stopniowo niczym w hipnotycznym spowolnieniu koszmarnego snu. Nie, obiektywnie nie było nic więcej. Obawa, że ujrzę przed sobą kobietę o twarzy wyniszczonej szlochem i że zostanę skażony tym jej płaczem, jej losem, nieludzkim ciężarem – odtąd już nieodwołalnie niedorzecznym – jej życia. Życia równie bezsensownego jak uderzenia młotka, które przed chwilą rozbrzmiały w oddali. Co mogło być tak pilnego i ważnego, żeby stukać w środku nocy?

I jeszcze jeden szczegół wyłania się około północy, kiedy prawdopodobieństwo jej najścia zaczyna się zmniejszać („Chociaż w tym stanie gotowa i o północy...”).

Nakrywam ręcznikiem abażur lampy na stole, zapalam ją i dostrzegam książkę, którą mi pożyczyła przed mie-
siącem. Dzieło Saussure'a, nawet do niego nie zajrzałem. Książka-pretekst: to było jeszcze w czasie, kiedy wszelki-
mi możliwymi sposobami usiłowałem zdobyć przyjaźń
czy też raczej zbliżyć się do tej kobiety. Byłem zauroczony,
zakochany, pragnąłem jej. Wszystkie te słowa wydają się
teraz idiotyczne, nie do wymówienia. Strach słabnie. Uda-
je mi się zebrać myśli, zastanowić nad dziwactwami ist-
nienia. Ten pożyczony Saussure dowodzi, że – nawet w sy-
tuacji tak nietypowej jak nasza – logika związku pozostaje
zawsze podobna: z początku przedmiot-talizman, butelka
rzucona w morze, gorączkowa nadzieja dalszego ciągu,
a na końcu to niepotrzebne tomiszczce, którego nie wiado-
mo jak się pozbyć...

Znów przyglądam się gazecie z Archangielska, Zoja zo-
stawiła ją na stole. Zdjęcie Koptiewa, kochającego dziadka
i wybitnego partyjnego działacza w jednym. Czuję nagle,
że należałoby – zgodnie z logiką istnienia – połączyć z tą
płaską, okrągłą gębą twarz Wiery. Bo przecież mogliby
(powinni by?) stanowić parę... Takie zestawienie jest nie-
możliwe. „Ona jest dużo młodsza – mówię sobie zmiesza-
ny. – Ależ nie, zaledwie trzy lata różnicy”. Gubię się, pró-
bując zrozumieć, co właściwie sprawia, że ci dwoje są tak
zupełnie nieprzystawalni. Jedyne sposob, by wyobrazić ich
sobie razem, to zrobić z Wiery dorodną moskwiankę,
o zgrubiałych rysach, zadowolonym spojrzeniu, kierującą
katedrą na uniwersytecie, członkinię partii... Przeciwień-
stwo tego, kim jest. „Ona nie jest z tego świata”, pod-

sumowuję na koniec głupio i sam czuję się znacznie bliższy świata Koptiewów. Ta przynależność dodaje mi ducha, wyzwala mnie i oddala od Mirnoje.

Okolo drugiej nad ranem wielkie odprężenie. Wiem, że będę musiał bardzo wczesnie wstać, opuścić wioskę ukradkiem, jak najszybciej dotrzeć na rozstaje, złapać ciężarówkę i na dworcu miasta powiatowego wsiąść do pierwszego pociągu jadącego do Leningradu, ku cywilizacji, ku zapomnieniu. Tak właśnie zrobię. Jestem zdecydowany, energiczny. Oświetlam izbę, już się nie ukrywając, i w pięć minut zapinam walizkę, której nie byłem w stanie zapakować od tygodni. Nie ma już mowy o łamaniu sobie głowy: zachorowałem na tę okolicę, na jej przeszłość, na tę kobietę owej przeszłości strzegącą, ale teraz moje ozdrowienie jest już bliskie. Wystarczy jeden powiew kwaśnego powietrza Newskiego Prospektu... Przez chwilę zastanawiam się, czy nie byłoby bardziej elegancko zostawić liścik. Mniej nieelegancko, powiedzmy. Ostatecznie jednak postanawiam wynieść się po angielsku.

Podczas tych kilku godzin snu, jakie mi zostały, często się budzę. Noc za oknami ma atramentowy połysk, wróżący wielkie mrozy. Przy jednym z takich ocknień zdaje mi się, że ogłuchłem. Ani podmuchu wiatru, w piecu ogień wygasł, cisza przestrzeni międzygwiazdnych, lodowata, absolutna. Nie mam odwagi wyjść na zewnątrz, żeby znów przynieść drewno. Chwytam starą wojskową pelerynę wiszącą przy drzwiach. Rozpościeram tę płachtę na kołdrze. Płótno jest całe poprzecierane, gdzieniegdzie

noszące ślady płomieni, ale – co zadziwiające – ta cienka warstewka ogrzewa mnie lepiej, niż gdyby to była puszysta pierzyna. Nawiedza mnie sen, zwierzenie jednej ze staruszek z Mirnoje: jej mąż, zabity wśród śniegów Karelii przy czterdziestostopniowym mrozie, i od tej pory obsesyjne pragnienie kobiety, by przygotować mu gorącą kąpiel. W moim śnie nagi żołnierz leży wyciągnięty na plecach pośrodku białej równiny. Otwiera oczy, budzę się, czuję na zmarzniętych policzkach palące łyzy.

7

Pierwszy rzut oka na zewnątrz, dobrze przed wschodem słońca, to jak lądowanie na nieznanym planecie. Wszystko jest sine od szronu, drzewa powleczone bladym zamszem, mury domów przystrojone kryształkami. Droga, jeszcze wczoraj najeżona błotnistymi grzebieniami, tworzy białą smugę, długą i gładką. Suche łodyżki pokrzyw przy starych schodkach układają się w srebrne lichtarze. Popycham drzwi, biorę głęboki oddech, usiłując zatrzymać aż do zawrotu głowy mroźne upojenie tym pięknem. To powietrze, czuję wyraźnie, może znów mnie oszołomić, sprawić, że zapomnę o wyjeździe... Muszę wyruszyć jak najszybciej.

Z walizką w dłoni docieram nad brzeg jeziora, kiedy słońce, jeszcze niewidoczne, zdradza swą obecność za lasem. Niebieskawa ziemia należy jeszcze do nocy. Ale pobielone wierzchołki najwyższych świerków pokrywają się delikatną przejrzystą poźłotą...

Przypieszam, żeby wyzwolić się spod uroku tych budzących się światel, które mnie opóźniają. Pierwsze ciężarówki

wkrótce zaczną przejeżdżać przez skrzyżowanie dróg. Ale magia chwili ogarnia wszystko. Każdy krok wywołuje to niepowtarzalne podzwanianie kruszonego lodu. Zatrzymać się, zatracić w tym czasie pozbawionym godzin. Odwracam się: nad kominem chaty, którą właśnie minąłem, unosi się nikły obłoczek dymu. Przeszywająca wdzięczność i lęk, że nie zdołam się oderwać od tego piękna.

Teraz droga oddali się od Mirnoje, rozpraszając czar jej ostatnich etapów: małej chatki, w której mieści się łąźnia, wierzbowych zarośli.

Niespodzianie w kompletnym bezruchu bieli i błękitu miga mi coś ciemnego. A zresztą nie ma w tym nic niespodziewanego. Długi płaszcz, kobieca twarz. Rozpoznaję ją, to ona, jej obecność w tym miejscu jest jak najbardziej zwyczajna, mogłem ją tu spotkać wczoraj, jak i przedwczoraj. Zgięta wpół usiłuje wypchnąć łódź przyamarznąłą do zlodowaciałej gliny brzegu. Wydaje się całkowicie pochłonięta tą czynnością.

Idę dalej, poruszany samym bezwładem mięśni, pogrążony w hipnotycznej nieczułości, przewidując scenę, która z pewnością się zdarzy: usłyszy odgłos moich kroków, wyprostuje się, ruszy w moją stronę, mierząc mnie spojrzeniem coraz bardziej niemożliwym do wytrzymania...

Słyszy odgłos moich kroków, prostuje się, pozdrawia mnie szybkim skinieniem głowy. Jej oczy mają wyraz, który dobrze znam. Nie widzą mnie tak naprawdę, trzeba im czasu, by umieścić mnie na obrazie, jaki im się jawi. Powtarza swój gest, jest to jedynie machinalna kopia pierwszego skinienia, wraca do swego zajęcia.

Jestem wolny, mogę odejść. Mimo to schodzę z drogi i kieruję się w stronę skarpy.

Łódź ledwie drgnie. Łód wokół kadłubu został rozbity kobiecymi butami. Gлина jest bardzo czerwona, ślady stóp odznaczają się na bieli niczym plamy krwi. Rozglądam się, gdzie mógłbym postawić walizkę w tej mieszance lodu i błota, w końcu kładę ją na ławeczce łodzi. I chwytam krawędź burty. Kobieta napiera na łódź z drugiej strony, naśladuję jej ruch, barka zaczyna się kołysać, z każdym pchnięciem przesuając się niedostrzegalnie do przodu.

Następnie gładki ześlizg, brzęk cienkiej warstewki lodu, którą kadłub łodzi kruszy, osuwając się do wody. Kobieta już wsiadła, staje blisko rufy z długim wiosłem w dłoniach. Gramolę się do środka, sam nie wiedząc, czy po to, by zabrać walizkę, czy też...

Siadam na dziobie, plecami do celu naszej przeprawy. Jakbym nie wiedział, jakbym nie musiał wiedzieć, dokąd zmierzamy. Kobieta, na stojąco, zanurza powoli wiosło to z tej, to z drugiej strony. Zwrócona do mnie twarzą nie patrzy na mnie, tylko czasem – gdy nasze spojrzenia się spotkają – zdaje się obserwować mnie z dystansu długich lat. Łód pęka pod wiosłem, krople wody pobrzękują metalicznie.

„Ładna pułapka”, myślę sobie i pojmuję nagle, że to było nieuniknione. Podstępna i żądna sprawiedliwości logika chciała, byśmy się rozmówili. I tak się stanie: łzy, wyrzuty, moje nieudolne próby, by ją pocieszyć, by się z tego wywinąć. Przedtem kobieta załatwi, co ma do załatwienia na

wyspie, a następnie wrócimy do Mirnoje i wypełnię mój obowiązek jedyne go przyjaciela, jedyne go mężczyzny, jakiego poznała w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

Ta myśl jest równie nieprawdopodobna i oczywista, jak cała ta biała planeta, która nas otacza. Ślubna biel, nieskalana, przerażająca swą czystością. Nawet sosnowe belki tworzące ten krzyż są inkrustowane kryształkami.

Ona płynie na wyspę z powodu tego krzyża leżącego na ławeczkach łodzi. Przypominam sobie jej słowa: „Następnym razem przywiozę krzyż...”. A więc dziś jest ów następny raz. Krzyż na grób Anny, której ciało odbyło swą ostatnią podróż w moich ramionach. Uderzenia młotka wczorajszego wieczoru oznaczały zatem przybijane ramiona krzyża. A snop światła latarki związany był z przeniesieniem krzyża na łódź. Po cóż było go dźwigać tuż przed zapadnięciem nocy? Czemu nie rano? I nagle pojmuję, co to za kobieta narodziła się wczoraj. Kobieta, która musiała zbudować ten symbol śmierci, aby pozostać przy życiu. Wbije go w ziemię i zacznie mnie zaklinać, płakać, próbować mnie zatrzymać w swoim życiu, w którym więcej jest krzyży niż żywych. Główne drzewce wydaje mi się nieproporcjonalnie długie, ale po chwili domyślam się, że jego dolna część zostanie wkopana w ziemię.

Wyspa jest biała. Oszroniony kościółek wydaje się przezroczysty, eteryczny. Ziemia wokół świeżo osadzonego krzyża to jedyna ciemna plama w tym świecie bieli.

Schodzimy na brzeg, bez słowa zajmujemy swoje miejsca w łodzi. W pewnym momencie przychodzi mi

na myśl, że powinienem coś powiedzieć, rozbroić paroma neutralnymi słowami poważną rozprawę, jaka się szykuje. Ale cisza, zbyt rozległa, niczym w olbrzymiej nawie, odbiera mi głos, odsyła go do wewnątrz, ku tej gorączkowej myśli, która kołacze mi w głowie: jak wytłumaczyć tej kobiecie, że aby dzielić z nią los, choćby przelotnie, trzeba by nauczyć się żyć tym życiem po życiu, które nam, innym, nie jest jeszcze dane, że trzeba by umieć wszystko przewartościować – czas, śmierć, ulotną nieśmiertelność miłości, że trzeba by... Niebo nad jeziorem zabarwiło się niemożliwym do zniesienia blaskiem, czystość powietrza rozdyma płuca do tego stopnia, że nie można już oddychać. Mam wielką ochotę uciec z tej białej pustyni, znaleźć się w zadymionej ciasnocie naszej pracowni w Wigwamie, w zgiewku podchmielonych głosów, w ścieraniu się ciał, beztróskkich płochych myśli, krótkotrwałych związków bez zobowiązań.

Okrążamy wyspę. Już wkrótce czerwona glina brzegu, wierzbina... Ona wysiądzie, spojrzy mi przeciągle w oczy, zacznie mówić. I co jej powiem: śmierć, czas, przeznaczenie? To kobieta samotna, która całkiem zwyczajnie i po ludzku nie chce już nią dłużej być. Ale ta nieskończoność bieli, którą nosi w sobie, przenigdy nie zmieści się w ciepłej muszli Wigwamu.

Zmarznięty czuję odrętwienie własnego ciała. Siedzę skulony na ławeczce, z walizką między nogami. Znienacka nachodzi mnie myśl, żeby uciec przy schodzeniu na brzeg. Wskoczyć, wciągnąć łódź na ląd, złapać walizkę, rzucić jakieś słówko na pożegnanie i zwiać. Uderzenia

wiosła stają się coraz bardziej leniwe, jakby Wiera – odgadując mój plan – chciała opóźnić nasz powrót. Wiem zresztą, że i tak nie potrafiłbym uciec. Bardzo niewygodny ten niedostatek cynizmu!

W tym momencie dziób łodzi stuka łagodnie o jakąś przeszkodę. Odwracam się i wytrzeszczam oczy. Nie ma wierzb, nie ma czerwonego zdeptanego szlamu. Przybiliśmy do starej przystani, z drugiej strony jeziora. Zanim jeszcze mogę pojąć, co się dzieje, Wiera wysiada na deski, które uginają się lekko, wsparte na starych palach. Machinalnie wychodzę za nią – z walizką w dłoni – na wąski pomost.

Spogląda mi w oczy, uśmiecha się, całuje mnie w policzek i wraca do łodzi. I zanurzając już wiosło w wodzie, mówi: „W ten sposób jesteś dwa kroki od miasta. Zdążysz na pociąg o jedenastej... Niech Bóg ma cię w swej opiece”.

Jej twarz wydaje mi się postarzała, kosmyk srebrzystych włosów opada na czoło. A przecież równocześnie cała promieniuje młodością, nową, drżącą, rodzącą się właśnie w ruchu warg, w trzepocie rzęs, w lekkości ciała, które łódź już uwozi w dal...

Unoszę rękę w daremnym pozdrowieniu, stoi tyłem do mnie, a odległość między nami szybko się zwiększa. Podchodzę aż na skraj pomostu i z bolesną intensywnością powtarzam sobie, że mój głos mógłby jeszcze do niej dotrzeć i że trzeba by jej koniecznie powiedzieć, że... Cisza jest taka, że słyszę delikatny plusk wywołany ruchem łodzi, który zanika między palami pomostu.

Jeszcze nigdy nie wyruszałem do miasta z tego miejsca. Od przystani ścieżka biegnie w górę i kiedy oglądam

się za siebie, widzę całe jezioro. Wyspę z wyraźną bryłą kościoła i kilkoma drzewami nad cmentarzem, niebieskoszare blankowanie lasu, dachy Mirmoje, których biel straciła już swój olśniewający blask, szron wkrótce stopnieje, a wtedy upodobnią się po prostu do dachów wioski takiej jak inne, oczekujące zimy.

W oddali łódź zdaje się stać w miejscu na lodowej tafli jeziora, a jednak płynie naprzód. Ślad uwolnionej wody za rufą wydłuża się, ciągnie ku nieskończoności zaśnieżonych równin, ku przyćmionemu blaskowi słońca. A jeszcze dalej, w szronowych mgłach horyzontu, za polami i szczytami drzew rozbłyska nagle ta pustka. Morze Białe...

Ponad czarną linią łodzi dostrzegam jeszcze sylwetkę w długim kawaleryjskim płaszczu. Mimo dzielącej nas odległości zdaje mi się, że słyszę dzwonienie kruszonego lodu. Ten sam dźwięk wypełnia świetliste przestworza nieba. Właśnie teraz dzwonienie ustaje, jakby w chwili, gdy wiosło wstrzymuje swój miarowy ruch, odpoczywa. Mam wrażenie, że rozpoznaję gest ręki, falujący nad łodzią, tak, widzę go wyraźnie i macham pospiesznie w odpowiedzi...

I dźwięczenie powraca, delikatne, niezmiennie.